
KRONIKA

- **MOJE WSPOMNIENIA WOJENNE**

Wszystko co nasze Polsce oddamy
W Niej tylko życie, więc idziem żyć ...
(I. Kozielewski, *Hymn harcerski*)

Urodziłam się 13 sierpnia 1927 roku w Krakowie jako jedyna córka Romana i Katarzyny (z domu Cekiera) Łukasików. Mój ojciec urodził się 12 sierpnia 1900 roku w Krakowie. Przed II wojną światową pracował w Wojsku Polskim, w Składnicy Łączności Nr 5 w Krakowie przy ulicy Kamiennej. Był urzędnikiem wojskowym a Jego praca była ściśle tajna. Przed samą wojną mieszkaliśmy przy ul. Oboźnej 13 A w Krakowie. Ewakuacja nastąpiła w czasie wojny na rozkaz wyjazdu z Krakowa wraz z rodziną do Łańcuta, a dalej niespodziewanie z taborem wojskowym i z pomocą Huculów dotarliśmy przez Kołomyję, Kosów, Kuty za granicę do Czerniowiec w Rumunii. A potem dalej.

W 1939 roku ukończyłam 5 klas Szkoły Powszechnej, następnie w Rumunii (Caracal) i Algierii (Cap-Matifou) szóstą klasę. W Algierze (Płn. Afryka) uczęszczałam do Gimnazjum i Liceum im. Gen. Wł. Sikorskiego. Tamże uczyłam się od 1941 r. do 1945 r. otrzymując świadectwo IV kl. gimnazjum tj. małej matury i I kl. liceum. Dużą maturę złożyłam w Trani k/Bari we Włoszech. Po powrocie z Wielkiej Brytanii do Polski, od 1947 roku odbywałam studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie uzyskując stopień magistra filologii angielskiej w 1952 roku.

Pracę zawodową rozpocząłam zaraz po studiach. Ostatnim miejscem zatrudnienia od 1964 roku, była Biblioteka Instytutu Botaniki PAN w Krakowie, gdzie prowadziłam wymianę zagraniczną publikacji. W 1966 roku zdałam egzamin z bibliotekoznawstwa przed komisją Egzaminacyjną PAN w Poznaniu. W 1987 roku przeszłam na emeryturę, pracując dłużej jeszcze 2 lata.

Do dziś trudno mi zrozumieć jak to się stało, że moje szczęśliwe dzieciństwo nagle legło w gruzach. Mieszkaliśmy w Krakowie, przy ul. Oboźnej 13 A, w dzielnicy Krowodrza, a właścicielem domu był p. Franciszek Filanowski. W tym samym domu na parterze mieszkała rodzina polsko-włoska: p. Nullo Di Camillo z żoną Polką i trojgiem dzieci: Bolesławem, Nullo i Neldą. Pan Nullo Di Camillo był kierownikiem fabryki makaronu przy ul. Łokietka. Nie dziwiłoby to nikogo gdyby nie fakt, że rodzina ta nagle wyprowadziła się udając się do Włoch, do Mediolanu. Jak się zaraz okazało, było to tuż przed wybuchem wojny.¹

Romana Łukasik

¹ Dedykuję Pani dr H. Komorowskiej, która zainspirowała mnie do opowiedzenia jej tych wspomnień, wykazując dużo cierpliwości i nakładu pracy w zapisywaniu ich z wyrwanych fragmentów mej pamięci.

*

Wybuch II-ej wojny światowej

Wybuch II-ej wojny światowej zastał mnie, gdy miałam zaledwie 12 lat, byłam uczennicą Szkoły Powszechnej nr 37 przy ul. Mazowieckiej (skończyłam piątą klasę). Funkcję dyrektora szkoły pełniła p. Antonina Gołkowska, będąca nauczycielką matematyki. Była to szkoła żeńska, jedynie 1 klasa miała charakter koedukacyjny. Pierwsze dni wojny upłynęły pod znakiem alarmów, czyli „wyjątych syren”. Wtedy, jak inni mieszkańcy schodziliśmy do fabryki „Miraculum” mieszczącej się naprzeciw naszego domu. To miejsce miało służyć za schron.

Exodus w nieznane

Moi rodzice wraz ze mną musieli opuścić Kraków w trzecim dniu wojny tj. w pierwszą niedzielę września 1939 roku, na rozkaz biura wojskowego mego ojca. Przeżywaliśmy prawdziwe piekło zanim dotarliśmy do Rumunii. Planowana ewakuacja dotyczyła miasta Łącuta względnie Rzeszowa. Widać jednak, że uchodźstwo było naszym przeznaczeniem. Nie wiedzieliśmy gdzie ukryć się przed bombami spadającymi na drogi, mosty, budynki.

Początkowo jechaliśmy pociągiem towarowym zajmując jeden z bydłych wagonów przystosowanych do rozłożenia pościeli i umieszczenia bagażu. Po nakazie opuszczenia pociągu ze względu na zagrożenie, pieszo przemierzaliśmy drogę obok taborów wojskowych od Tarnowa (spod Bogumiłowic i wsi Krzyż) do Radomyśla. Niemieckie „Messerschmitty” zrzucały na nas bomby. Nie mieliśmy się gdzie ukryć wokół były tylko pola uprawne, więc upadaliśmy np. w ziemniaki, które mają niskie pędy nadziemne. Lotnicy specjalnie zniżali lot, aby nas ostrzeliwać z karabinów maszynowych. Nie wiadomo, kto zdołał po tym nalocie podnieść się a kto już pozostał nieżywy lub ranny. W Radomyślu miało po naszą grupę przyjechać 10 autobusów, a tymczasem po 17-tu godzinach wędrowni zniecierpliwieni tułacze dosłownie przypuścili szturm, aby dostać się, jak się okazało do jednego z trzech podstawionych. Nam udało się wyjechać drugim autobusem. Gdy jechaliśmy już autobusem do Lwowa, kierowca zauważył eskadrę samolotów niemieckich i zapytał pasażerów czy ma przejechać przez most czy zatrzymać się przed nim. Wszyscy byli jednego zdania, aby jak najszybciej przejechać most, bo pewnie jest celem ataku, i tak się stało. Ledwie wysiedliśmy z autobusu za mostem a kierowca próbował zamaskować gałęziami pojazd, most został zniszczony. My przedostaliśmy się do najbliższego domu. Tam wpuszczono nas tylko do przedpokoju, w którym stanęliśmy bardzo stłoczeni, ramię przy ramieniu. Usłyszeliśmy lament chłopca ok. 16-letniego, który co dopiero stracił cały dom z rodziną. Dalsza droga w miarę spokojna prowadziła już prosto do Lwowa. W tym pięknym mieście przez jedną dobę zamieszkaliśmy w wojskowych barakach przy ul. Koszykowej, a jeden dzień (następny) spędziliśmy u brata mamy.

Widmo tragizmu we wsi Raj

Mój ojciec przypadkowo spotkał kolegę, który zabrał nas swoim odkrytym samochodem i tak znaleźliśmy się we wsi o nazwie Raj koło Brzeżan, ale w pośpiechu musieliśmy opuścić to miejsce na wiadomość, że drugi nieprzyjaciel

jest tuż tuż. Następnie droga wiodła przez Kołomyję, Kosów, Kutry aż poza polską granicę, do Czerniowiec w Rumunii. Tam zatrzymaliśmy się na noc w zajeździe z grupą uchodźców u rumuńskiego gospodarza, który nie chciał nas przenocować słysząc, że mamy tylko polskie pieniądze. Wreszcie dał się przekonać jakąś ilością papierosów będących w posiadaniu kogoś z naszej grupy. Pozwolono nam w ubraniach położyć się na podłodze wyścielonej workami. Nie mogłam zasnąć, choć byłam śmiertelnie zmęczona, bo wokół panował obrzydliwy fetor. W nocy, gdy przez chwilę zapalono światło elektryczne, ujrzano nas w „okowach karaluchów”, które dokładnie nas oblepiły. Tak więc pierwszy kontakt z zagranicą był niefortunny, ale przynajmniej mieliśmy dach nad głowami, podczas gdy na zewnątrz dawały się już odczuć jesienne przymrozki. Zaraz też tłum ludzi po przenocowaniu w zajeździe został objęty transportem kolejowym, nie wiadomo, dlaczego najpierw na północ, a potem na południe, a w Tulczy przetrzymywani byliśmy przez długie godziny. Podczas podróży zaopatrzone nas w okrągłe bochenki chleba, które raz po raz z niemiarywym ruchem pociągu, spadały nam z półek na głowy. Pociąg zatrzymywał się w dowolnych miejscach, niekoniecznie na małych stacyjkach i ruszał, gdy nikt się tego nie spodziewał. Jednego wieczoru mama postanowiła zdobyć dla mnie coś ciepłego do picia. Wychodząc z wagonu napotkała na sprzeciw z mojej strony, który stawiałam ze względu na jej niebezpieczeństwo i swój ogromny strach, że może nie zdążyć wrócić. To jednak była mała stacyjka, bo widniał na niej oświetlony punkt jakby peronu. Mama postanowiła wysiąść z pociągu i szła z półlitrowym garnuszkiem w rękę kierując się zapachem gotującego się jedzenia, który doprowadził ją w mroku i mgłę do grupy żołnierzy rumuńskich, pochylonych nad kotłem. Jeden z nich dał mamie znak ręką by zbliżyła się, co też uczyniła. Wtedy garnuszek został napełniony zupą, która smakowała mi jak jakiś wykwintny rarytas. Z okien pociągu widzieliśmy rozlewiska Dunaju i ogromne ilości dzikiego ptactwa. Dla mnie był to obraz nierealnego świata, ale już bez groźby z ziemi i z nieba i mieliśmy poczucie bezpieczeństwa.

Caracal w Rumunii

Pod koniec września, po wielu trudach, dojechaliśmy do miasta Caracal koło Krajowej (Craiova) gdzie władze miejskie zorganizowały dla nas pomoc. Polscy uchodźcy ponieśli ogromne straty materialne podczas ucieczki i byli w okropnym stanie po trzech tygodniach tułaczki, często bez dostępu do wody i ciągle w tej samej odzieży, jak w naszym przypadku. Po upragnionej kąpieli w łaźni miejskiej skierowano nas nocą, do domów rodzin rumuńskich, podstawionymi zaprzęgami konnymi.

Zawsze mam w pamięci okazywaną nam życzliwość przez Rumunów, którzy przyjmowali nas pod swój dach. Po zamieszkaniu u pierwszych gospodarzy, przy Strada Carpați, zmieniliśmy mieszkanie tylko dlatego, że po otrzymaniu zasiłku uchodźczego nie chciano od nas przyjąć... pieniędzy. W ostatnim – na Strada Regele Ferdynand znajdowało się w rodzinie 5-letnie dziecko, które, o dziwo, bardzo rozpaczało przy naszym wyjeździe do Algieru, skandując moje imię.

W Caracal na uchodźstwie przebywały też oprócz nas trzy rodziny pochodzące z Krakowa, znane nam: **Pani Żakowa** z 4-ma córkami Krystyną, Kazimierą, Stanisławą i Teresą (urodzoną w Rumunii). Dalsze ich losy były zwią-

zane z moimi, tzn. razem wyjechałyśmy do Algieru i Trani i razem byłyśmy w obozie w Anglii. Druga córka p. Żakowej – Kazia tam wyszła za mąż za pana Zenona Różyckiego. Wszyscy obecnie przebywają na terenie USA. **Pani Bronisława Semlakowa** z nastoletnim synem Aleksandrem wyjechała na początku roku 1940 do miejscowości Craiova w Rumunii, gdzie było zorganizowane Gimnazjum i Liceum. Jej syn, do końca wojny, ukończył I-wszą klasę liceum, a już w Krakowie II-gą. Studia wyższe na UJ z dziedziny chemii z tytułem magistra ukończył w 1951 roku. **Pan Jarmuszkiewicz**, z którym mój ojciec pracował przed wojną przybył z córką Donatą i starszymi synami Tadeuszem i Bogdanem. Wiele innych rodzin z Krakowa było nam nieznanymi. Wszyscy wymienieni oprócz p. Żakowej z córkami, w różnym czasie wrócili do Krakowa, młodzi założyli rodziny, obecnie część z nich już odeszła. I tak losy każdej rodziny potoczyły się inaczej.

W grudniu 1939 roku lub w styczniu 1940 r. do Caracal przybył Kardynał August Hlond, aby uchodźców podtrzymać na duchu. Witaliśmy Go kwiatami, przed Hotelem Minerva, gdzie mieściła się polska YMCA.² Od tego czasu na mszach niedzielnych zaczęto śpiewać modlitwę obozową nieznanego autora:

O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z cudzych stron do Ciebie
O polski dach i polską broń

Ref.

O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj,
Do wolnej Polski, nam powrócić daj,
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz dom

O usłysz, Panie, skargi nasze,
O usłysz nasz tułaczy śpiew
Z nad Warty, Wisły, Sanu, Bugu
Męczeńska Cię woła krew

Ref.

O Boże, skrusz ten miecz ...

W czasie naszego pobytu w Caracal gościł u nas teatrzyk objazdowy, z którego pobytu zapamiętałam słowa młodej pieśniarki p. Bogdańskiej: „Dla Was żyć, bawić Was, – to jest dewizą w moim życiu, nieraz w ukryciu o tym śnię, byście kochali szczerze mnie... Prędko tu płynie czas, gdy jestem z Wami goście mili. Chcę byście się bawili” itd.

W YMCA odbywały się różne imprezy np. dla dzieci w postaci zajęć plastycznych i zabaw (ryc. 1), dla dorosłych zajęcia w rodzaju „praktyczna pani”, kursy językowe, i odprawiane były niedzielne msze św. W Caracal Polacy nagminnie kupowali tanie kożuszki baranie, zwykle bezrękawniki z obszytymi lamówkami z kolorowej, cienkiej skóry, a produkowane przez rumuńskich kożuszników. Służyły one nam długo, nawet w „ciepłym kraju”, jakim był Algier, jako zabezpieczenie przed zimnem w różnych okolicznościach. Rumuni jak tylko mogli, starali się, aby adaptacja Polaków w ich przyjaznym mieście przebiegała jak najlepiej. Dlatego też otworzyli restaurację, gdzie serwowano popularne polskie obiady. Do takich dań

² Young Men's Chrystian Association – Związek Młodzieży Chrześcijańskiej.

należał rosół z makaronem, kotlet schabowy i ziemniaki z kapustą. Caracal było jednym z większych skupisk Polaków.

Ryc. 1. Dzieci w YMCA w Caracal.

Polacy jak zwykle, otaczali opieką źle traktowane czy też zranione psy. Domagali się lepszych warunków ich życia, gdy pod budami ustawionymi przy domach zdesperowane psy robiły podkopy by uciec przed zimnem, które jak mówili miejscowi, przyszło do Rumuni z Polakami (wyjątkowo mroźna zima w 1939/1940). W hallu YMCA każdy napotykał leżącego, ciężko rannego, psa wilczura, który wymagał specjalnego leczenia.

Drugie nasze miejsce zamieszkania po Strada Carpați, to Strada Pârâului w Caracal. Tam duży pies wilczasty (typu wilk), trzymany na łańcuchu przy budzie z ostrzeżeniem, że to „zły pies” był przez nas dokarmiany resztkami jedzenia. Pewnego późnego wieczoru, gdy wracałam z rodzicami z jakiejś imprezy w YMCA (było bardzo mroźno) zastaliśmy przymkniętą bramę domu, a wewnątrz, na podwórku, uwolnionego z uwięzi psa. Konieczność zmusiła nas do wejścia i wtedy pies rzucił się na mnie, przednimi łapami okalając moja szyję. Bardzo się przestraszyłam, jednak okazało się, że to nie był atak, ale przywitanie. Rumuńskiego języka nie miałam sposobności się nauczyć, znam do dzisiaj zaledwie kilka słów grzecznościowych, ale zapamiętałam początek ówczesnego hymnu państwowego „Traiasca regele in pace și onor...”³

Nasz pobyt na wygnaniu i tułaczce życie nie skończyło się jeszcze. Po pięciu miesiącach pobytu w Caracal mama i ja przyłączyłyśmy się do grupy 250 osób (głównie kobiet i dzieci polskich) wyjeżdżających do Algieru w Północnej

³ „Niech żyje król w pokoju i szacunku...”

Afryce, dzięki Francuskiemu Czerwonemu Krzyżowi, niektórzy sugerowali, że to dzięki władzom polskim w Londynie. Mojemu ojcu, tak jak wielu innym, nie poszczęściło się w przedostaniu się do Francji, by tam walczyć o wolność. Na komisji lekarskiej orzeczono kategorię zdrowia „D”, zamykając tym samym możliwość służenia w wojsku. Choć stan taty był dobry i miał tylko 40 lat, został „internowany” z zakazem opuszczania Rumunii. Do Polski powrócił wraz z innymi w sierpniu 1945 roku.

Algier, Północna Afryka (środkowa część Maghrebu)

Wyjazd do Algieru nastąpił 20 lutego 1940 roku z punktu zbornego w Piatra Olt przez Turnu Severin do Jugosławii, zwykłym pociągiem. W Lublanie wysiedliśmy z pociągu będąc zaproszonymi do restauracji na posiłek. W dalszą drogę udaliśmy się do Włoch przez Wenecję (niestety nocą). Dwa lub trzy dni spędziliśmy w luksusowym hotelu w Mediolanie i mieliśmy okazję zwiedzić słynną katedrę. Na terytorium Francji, w Nicei najmłodsze dzieci zostały otoczone opieką przez Organizację Czerwonego Krzyża. W podrzędnym hotelu w Marsylii byliśmy krótko, a moja mama i ja zostałyśmy zabrane drugim transportem morskim – statkiem „Ville d’Oran” przez Morze Śródziemne do Algieru.

Powitanie Algieru we Foyer Polonais

Przybyliśmy tam 28 lutego 1940 roku, w słoneczny i upalny dzień, ubrani w ciemną, ciepłą odzież, podczas gdy miejscowe Europejki nosiły piękne kolorowe suknie z naturalnego jedwabiu. Tak wczesne i gorące lato nie powtórzyło się już podczas naszego pobytu. Zebraliśmy się w Domu Polskim (Foyer Polonais), gdzie podzielono nas na grupy według tzw. potrzeb osobistych, jak na przykład dzieci z matkami do szkoły podstawowej, podczas gdy moja mama z miejsca znalazła się w Szpitalu Mustafa – Hôpital Mustafa w Algierze. Nie mogłam znieść myśli o rozłące z moją mamą i wyjeździe 36 km od Algieru do szkoły polskiej w Cap-Matifou i rozpaczliwie i głośno płakałam. Wtedy zbliżyła się do mnie starsza Pani, której nikt nie znał, a która zapewniała mnie w naszym języku, że nic złego mi się nie stanie i że ona mną się zaopiekuje. Nigdy już więcej nie ujrzałam tej osoby. Inni zostali skierowani do schroniska pod wezwaniem Św. Jadwigi, w Algierze, przy Boulevard de Gallieni, w dzielnicy El-Biar.

Pobyt w Cap-Matifou

Cap-Matifou, mała nadmorska miejscina wydawała się ładna, ale byliśmy bardzo rozczarowani widokiem zamieszkania w prymitywnych warunkach, w barakach po końskich stajniach, nazywanych „pavillons”. W każdym z nich były tylko dwa rzędy łóżek oddzielone kamiennymi filarami a o łazience i ciepłej wodzie nie można było nawet marzyć. Nad naszymi głowami „spacerowały” duże, zielono ubarwione jaszczurki. Przyzwyczailiśmy się do ich widoku, gdy nas zapewniono, że nie są jadowite.

Wrażenia były okropne, a możliwości wydostania się z tej sytuacji żadne! Grupy dzieci przydzielono do odpowiednich klas, które uczyły się w języku polskim. Niekiedy młodsze dziewczęta z aktualnej szkoły razem ze starszymi dziewczętami nie objętymi jeszcze nauką w gimnazjum umilały sobie czas maszerując w takt patriotycznej pieśni nieznanego mi autora i czasu jej powstania.

Jeden nas łączy los i jeden łączy ból,
Jedna tęsknota do tych lasów, do tych pól,

Jedna nas łączy dola lepsza albo zła
W Polaku, Polak brata dziś na pewno ma!
Niech znikną zwady, kłótnie, – zwarci bądźmy dziś
A wtedy wspólna zrodzi się nam myśl
Trąbka pobudkę gra, wiarę niech każdy ma
Bóg nam pomoc swą da!
Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy
Wrócimy tam, wszyscy razem młodzi i starzy
Wrócimy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany
Wrócimy tam, gdzie nasz kraj, gdzie nasz dom kochany!

Po 2-ch miesiącach dodatkowo uczyliśmy się w odległej szkole francuskiej. Drogę do szkoły pokonywaliśmy pieszo w palącym słońcu, które topiło asfalt a nasze buty przyklejały się do niego. Kolegami były arabskie dzieci, a pani nauczycielka Francuzką. Uzyskałam 7 nagród „billets de satisfactions” w ciągu miesiąca, deklamując wierszyki i nie rozumiejąc ani słowa. Na przerwach lekcyjnych wszyscy razem tańczyliśmy śpiewając: „Dancer l’habit gai, l’habit gai de Ramona...”⁴ Czułam się bardzo osamotniona, byłam jak sierota, sama w obcym kraju i między obcymi ludźmi. Jedynie od czasu do czasu odwiedzała mnie pani Alice Lébar, żona francuskiego lekarza, od lat zamieszkała w Algierze. Przywoziła wiadomości ze szpitala, gdzie była leczona moja mama, czasem wręczała jakiś upominek. Warte wspomnienia są też odwiedziny w szpitalu mojej mamy przez żonę konsula, panią Frydrychową, która zapobiegliwie przyniosła jej słownik polsko-francuski, aby mogła się nim w potrzebie jakiejś posłużyć. Kiedy mama odkryła, że w sali szpitalnej są częste przypadki śmierci zwłaszcza nocą, a w dzień jest ponuro bez słońca, (okna były wystawione na północ), poprosiła konsylium lekarzy francuskich o przeniesienie piętro wyżej, gdzie umieszczano mniej chorych i gdzie „zaglądało” słońce. Padły wyrażenia wypowiedziane niegrammatycznie i bez tradycyjnego „s’il vous plaît”, ale prośba była natychmiast zaspokojona, a jeden z lekarzy powiedział „Vive La Pologne”.

Szpital Mustafa w Algierze

W Cap Matifou miałam wypadek, zwichnęłam nogę i po kilku dniach dowieziono mnie do Szpitala Mustafa w Algierze, na prześwietlenie. Nie pamiętam jak to się odbyło, natomiast zapamiętałam kamionetkę⁵, która mnie wiozła, a na przedmieściu bez słowa, kierowca francuski pozostawił mnie samą w pojeździe na ok. 2 godz., a potem sałę, do której weszła nieoczekiwanie Polka – p. Płaczkiewicz, a ja znając ją tylko z pojedynczego widzenia, rzuciłam się jej na szyję prosząc, aby mnie zaprowadziła do mamy. Moje pragnienie spełniło się i skacząc na jednej nodze zjawiłam się przed nią. Mama była wzruszona a jednocześnie przerażona moim wyglądem, byłam b. wyrosnięta i strasznie wychudzona. Francuzki leczące się a szpitalu polubiły mamę, fotografowały się z nią a ja zostałam obdarowana przez nie drobnymi prezencikami.

Podobno zmiana sposobu zwracania się do niej nastąpiła wtedy, gdy zrozumiała, że traktują ją lekceważąco jak postępowały w stosunku do Arabek, nie znających języka francuskiego (ktoś, kto nie znał języka francuskiego był traktowany jak człowiek drugiej kategorii). Gdy wypowiedziała słowa: „Tu est tu, est moi, je suis madame polonaise” (tzn. ty to ty, a ja jestem polską panią) wszystko się zmieniło i zwracano się do niej per „vous”.

⁴ „Taniec jest zwyczajem wesołym Ramony...”.

⁵ Rodzaj małego autobusu.

Po upadku Francji w czerwcu 1940 roku przewieziono nas z powrotem do Algieru, ale ciasnota w jednym wówczas schronisku stawała się uciążliwa. Na początku naszego pobytu aprowizacją dla schroniska zajmowała się pani, która kupowała dla nas przeterminowaną żywność. I tak na przykład makaron po zalaniu mlekiem wzbudzał niesmak i wręcz obrzydzenie, bo wypływało z niego robactwo. Najwyraźniej przyczyną tego zjawiska była niska cena produktów. Owocami dla nas najbardziej dostępnymi były nèfles (niespłiki japońskie), dobrze zaspakajające pragnienie, a często za posiadane pieniądze dokupowałyśmy też mandarynki i pomarańcze.

Obóz w Ben-Chicao (Tellskie Góry)

We wrześniu komisja francusko-niemiecka wysłała nas do zamkniętego obozu w Ben-Chicao w górach Tellskiego Atlasu, (107 km od Algieru), którego dyrektorem był Mr. Frineau.

Zanim dotarliśmy pociągiem do tego miejsca przejechaliśmy niezliczoną ilość tuneli mijając rosnące na zboczach kwitnące drzewa eukaliptusowe. Ben-Chicao wydawało się miejscem odosobnionym, zapomnianym przez Boga i ludzi, jedynie misjonarze jugosłowiańscy schodzili do nas z gór, aby nas wyspowiadać. W uzasadnionych przypadkach do wyjścia z obozu służyły przepustki od francuskich żandarmów.

Zima wyjątkowo była okrutna, spadł obfity śnieg, wiały silne wiatry, a pośród czarnych, upiornych nocy słychać było wycie szakali. Arab ubrany w wojskowy mundur ze strzelbą na ramieniu przypominał nam o zasłonięciu okien wieczorami, gdy świeciło się światło elektryczne, wołając „la lumière” (światło).

Przed naszym tu przyjazdem zwolniono z obozu jakieś niemieckie kobiety, kiedy to Gen. E. Rommel zwyciężał w Tunisie, a alianci nie mieli jeszcze przewagi nad wrogiem.

W tymże obozie pamiętne były Święta Bożego Narodzenia, w wigilię, podczas gotowania dla nas posiłku przez dyżurujące Panie, zapalił się dach i jego resztki wpadły do kotła. Tym sposobem zostaliśmy pozbawieni „świętecznych dań”.

Najbliższe miasteczko nazywało się Médéa i razu pewnego pojechałam tam z mamą do usunięcia zęba u dentysty. Ząb prawdopodobnie nadawał się do leczenia, ale nie było możliwości finansowych i utrudniony dojazd.

W obozie znajdowało się kilka psów-kundelków, chorych przeważnie od kleszczy na nich pasożytujących. Wśród nich był duży biały owczarek „toutou” (tu-tu) rzadko wypuszczany poza obóz, ponieważ uważany był za zbyt agresywnego. Jedynie dla nas Polaków, których doskonale wyróżniał, był przychylny za okazywaną dobroć. Po naszym wyjeździe jednakże doszły nas słuchy, że został zastrzelony z powodu zagryzienia kogoś.

Życie okolicznych mieszkańców – Arabów było bardzo ubogie. Mieszkała w kurnych chatkach, w zimie na klepisku koło rozpalonego ogniska krążyła gromada półnagich dzieci. Łóżek nie mieli a zamiast nich były płyty kamienne przypominające katafalki cmentarne.

Drogi dojazdowe, rzecz dziwna, były wszędzie uporządkowane, pokryte asfaltem a spośród ich wąskich wstęg widać było jedynie, wysokie skaliste góry, dołem porośnięte drzewami migdałowymi. Jednego dnia sekretnie wydo-

stałam się z obozu, bez przepustki, z mamą i ciężarną panią Chylicką-Oborską. W autobusie przepełnionym Arabami, gdzie panował niesamowity fetor, pani oczekująca dziecka mdlała, co chwilę. W Algierze trafiła prosto do szpitala a my do konsulatu, gdzie zagrożono nam więzieniem z powodu bezprawnego opuszczenia obozu. A moja mama chciała tylko załatwić dla mnie formalne przyjęcie do szkoły gimnazjalnej, bo w Cap-Matifou uzupełniłam wiadomości z 6-tej klasy (wcześniej uczęszczałam już do 6 klasy w Rumunii).

W Ben-Chicao spędziliśmy blisko rok zanim przyjechał delegat z Londynu, p. inż. Władysław Krygowski, i został dyrektorem naszego ośrodka w Algierze. Powrót do Algieru odbywał się etapami, toteż miało to wpływ na przedłużanie się naszego pobytu w obozie. Z powodu zimna rozglądałyśmy się za drzewem do ogrzewania piecyka. Ratunkiem dla nas było rozebranie podłogi z sąsiedniego, przechodniego, już pustego pokoju. Deski, a raczej ich zakończenia, kładło się na dwa łóżka i wskakiwało w sam środek. W ten sposób przelały się pośrodku i można było nimi palić.

Powrót do Algieru

Po przybyciu do Algieru, z powodu przeludnienia w schronisku, dr Hacziewicz udostępnił nam do zamieszkania infirmerię (izbę chorych), w czasie, gdy nie przyjmował pacjentów. Wkrótce powstało drugie schronisko i na stałe zamieszkaliśmy pod adresem: rue Jules Ferry 38 również w dzielnicy El-Biar. Zostało ono nazwane schroniskiem pod wezwaniem Św. Jana. Składało się ono z 4 sal i jednej kuchni. Mama i ja zostałyśmy umieszczone na I piętrze wg obietnicy francuskiego konsula Mr Rigolet'a. Nasza sala początkowo liczyła 29 osób, a do nich dołączył piesek o nazwie „Ciapek”. Osoby mieszkające w różnym czasie w naszej sali to: p. Rychłowska z córką Barbarą i synem Andrzejem i z siostrzenicą Stradecką Zofią; p. Stawowczykowa z córką Lilą (Wandą); ja z mamą i ciocią; p. Agopsowiczowa Aniela z synem Andrzejkiem i matką p. Bańkowską; p. Markowa z 3-ma córkami: Marią, Anną i Janiną; p. Jaczyńska z czworgiem dzieci: Oleńką, Hanią, Kazikiem i Basią; p. Batkowska z synem Zdzisławem i pojedyncze osoby: Mela Niedźwiedzka, Ala Kruszewska, Zofia Zyhła, Helena Burczykówna, Zenobia Paryska i Helena Płaczkiwicz. Nie wykluczone, że kogoś pominęłam.

A oto jak wyglądały poszczególne sale w schronisku pod wezwaniem św. Jana w Algierze. Przede wszystkim miały one w pewnym sensie zapewnić intymność mieszkańcom. W tym celu na ścianach zawieszono sznury, na nich wisiały prześcieradła izolujące nas przynajmniej od wzroku otoczenia. Natomiast głos zawsze mógł być słyszalny w mniejszym lub większym stopniu. Powstały w ten sposób jakby odrębne małe pomieszczenia zwane przez nas kojami, nie miały one stołów, krzeseł ani szaf „umeblowane” były za to nieodzownymi łóżkami, bez których nie mogliśmy się obejść. Służyły one nam nie tylko do spania czy odpoczynku, ale również do siadania przy odrabianiu lekcji, jedzenia a nawet mycia się (pod miednicę podkładało się ceratę chroniąc łóżko przed ewentualnym wyciekami wody). Słowem łóżka miały uniwersalne zastosowanie, aż dziwne, że nikt przez to nie dostał przysłowiowego „garba”. Na sali mieszkały z nami na pierwszym piętrze matki z dziećmi, w różnym wieku, przeważnie ziemianki z kresów wschodnich, żony oficerów. Gdy ktoś z nas cierpiał, lub prze-

żywał dramat, wszyscy starali się dostosować do tej wyjątkowej sytuacji, a czasem do radosnej atmosfery, gdy młodzieży pozwolono przegrywać płyty muzyczne. Modne były wówczas piosenki Tino Rossi'ego.

Algier, bardzo piękne miasto oczarowało nas swoją egzotyką. I tak nowe dzielnice nazywano „La Blanche”, a stare „Kasbah” o domach zwykle z arkadami. Mieszkańcy mówili przeważnie po arabsku, francusku, włosku, a wielu z nich było pochodzenia hiszpańskiego. Arabowie nosili bufiaste spodnie z cienkiej tkaniny a na głowach czerwone fezy i białe turbany (bogatsi ubrani byli w burnusy), a kobiety nosiły długie, białe szaty i miały zakwefione twarze, a na czołach widoczne były tatuaże.

Dzika plaża była cudownym fenomenem natury a przylegająca do niej płatna o nazwie „Franco” z parasolami, już mniej piękna, bo pozbawiona ogromnej skały koloru ołowianego jakby wrosniętej w wybrzeże Morza Śródziemnego. Piasek na całej plaży był miałki i tak gorący od słońca, że dosłownie parzył w stopy. To był prawdziwy raj móc tam przebywać i choć nie umiałam pływać, korzystałam z przypiływu fal morskich podskakując, by nie ulec całkowitemu zalaniu ponad głowę. Nie zdawałam sobie sprawy, że mogłam być przez fale powalona lub też natrafić na jakieś nierówności na dnie morza. Morze było spokojne w odróżnieniu od Adriatyku. Miało kolor blado niebieski a to drugie we Włoszech w Trani było raczej niespokojne, wzburzone o kolorze lazurowym, z kamienistymi plażami.

Razu pewnego ja z dwiema koleżankami miałyśmy nieprzyjemną przygodę przez oszczędzanie pieniędzy na bilety trolejbusowe. Wyszłyśmy pieszo z El-Biaru, położonego 200 m n.p.m., aby dojść do plaży położonej w dole. Zabłądziłyśmy, minęłyśmy jakiś rynek z rozłożonymi na straganach gnijącymi owocami, obleżonymi przez roje much. Weszłyśmy w sam środek Kasby – niebezpiecznej dzielnicy arabskiej. Schodziłyśmy szerokimi schodami, obok nas piętrzyły się wysokie budynki, a górą widziałyśmy tylko skrawek nieba. Mogłyśmy przepaść bez wieści, ale jakoś szczęśliwie udało nam się dotrzeć do plaży, może dzięki temu, że w ogóle nie rozglądałyśmy się i szłyśmy jak lunatyczki przed siebie.

Ja rzadko chorowałam, ale pamiętam, że jeszcze przed ukończeniem szesnastego roku życia wykonano mi w Szpitalu Mustafa zabieg chirurgiczny przycięcia (a nie wyłuszczenia) migdałków. Przeprowadził go lekarz francuski w obecności naszego lekarza p. Stanisława Haczkiwicza, który mieszkał na tzw. „Librze” wraz z żoną Martą i synem Maciusiem. Gdy małżonkowie gdzieś się wybierali zawsze prosili moją mamę albo ciocię, aby go przypilnować. Zapamiętałam, że chłopiec był bardzo wrażliwy, bajki o sierocej doli wzruszały go do łez. Ta trójka (rodzice z synem) wcześniej wyjechała do Egiptu, stamtąd po pewnym czasie otrzymaliśmy w drodze wdzięczności paczkę odzieżową za pośrednictwem polskich lotników. Dwukrotnie skorzystaliśmy z przysyłanej nam odzieży z USA (rodzaj zapomogi), ale dopiero poprzez losowanie zdołałam uzyskać coś godnego uwagi. To mama wylosowała dla mnie coś przydatnego, bo podobno w tym względzie potrzebna jest szczęśliwa ręka. Od czasu do czasu na nasze podwórko przychodzili arabscy handlarze odzieżą. Kiedyś zmuszona byłam sprzedać sukienkę (liczył się kolor bieli względnie jasne wzory na jasnym tle). Na inne, nawet z dobrej tkaniny czy ładnym kroju „marchands des

habits”⁶ nie mieli zapotrzebowania. U jednego z nich na piersiach widniały ordery, pewnie za jakieś polityczno-wolnościowe zasługi. Tenże mężczyzna zapewnił nas, że nie musimy obawiać się zamieszek, gdyż tak samo jak Arabowie nie mamy ojczyzny. Widać, że był dobrze zorientowany.

Ryc. 2. Świadectwo z ukończenia Gimnazjum w Algierze. (s. 1 i 2).

wąwozu gdzie młodzież sprawdzała swoje umiejętności fizyczne ćwicząc swe mięśnie na gałęziach drzew. Naprzeciw wąwozu, u jego wejścia, był biały dom z dużą klatką papugi kakadu, która donośnym głosem wykrzykiwała słowo „ca-caouettes”, co chyba miało wyrażać chęć jedzenia fistaszków. Dalej szło się w kierunku Pałacu Chińczyka, do którego wstęp był podobno zabroniony. Wiemy, że było tam pięknie, w ogrodach pełnych zieleni i egzotycznych kwiatów. Nie mogliśmy pozbawiać się jego uroku i skrycie odwiedzaliśmy to miejsce. Każda prawie ulica w Algierze była jakby udekorowana palmami, a w ogrodach rosły różne gatunki pierzastej mimozy o delikatnym zapachu, a w sadach drzewa owocowe – figowe, pomarańczowe czy mandarynkowe.

Otwarcie Gimnazjum i Liceum im Gen. Sikorskiego w Algierze

Po powrocie z obozu w Ben-Chicao zaczęłam regularnie uczęszczać do zorganizowanego, przez polskie władze w Londynie, polskiego gimnazjum i liceum im. Gen. Władysława Sikorskiego. Zajęcia były prowadzone przez pedagogów, którzy razem z nami przybyli z Rumunii. Dyrektorem był Stanisław Czernik (rodem z Ostrzeszowa), zarówno w Algierze jak później, już w 1946, w Trani, wspaniały polonista i wielki patriota. Książek nie było za wiele, pochodziły z drukarni w Jerozolimie. Pedagog ten uzupełniał wiadomości swoimi wykładami, które cieszyły się wielkim uznaniem przez uczniów. I tak się stało, że lekcja języka polskiego była prawdziwą przyjemnością. Załączam jedno ze świadectw, które tam otrzymałam (ryc. 2).

Gdy wojna rozpętała się z ogromną siłą ambasador polski w Rzymie p. Gawroński, ożeniony z włoską arystokratką, wysłał najstarszego syna Alfreda do Algieru. W ten sposób chciał uchronić go przed zwerbowaniem do wojska Mussoliniego. I tak grono uczniów naszej klasy powiększyło się, gdy nauka odbywała się w pomieszczeniach infirmerii w schronisku na Boulevard de Gallieni. W Algierze okresowo uczyliśmy się w trzech miejscach. Najpierw w schronisku pod wezwaniem św. Jadwigi przy Boulevard de Gallieni pod gołym niebem pośród drzew figowych lub też w przybudówce infirmerii. Drugie lokum to dwie lub trzy salki na parterze w wynajętym domu. Były one przechodnie, ciemne z częstą awarią elektryczności. Nauka odbywała się podzielona na lekcje popołudniowe i popołudniowe. Inne miejsce to stary pałac jakichś zubożałych książąt arabskich, będący w rękach angielskiego właściciela. Budynek chylił się do upadku, był piętrowy a jego okna wystawione na stronę południową. Nad naszą klasą usytuowaną na parterze znajdowała się kancelaria nauczycielska z podłogą z dziurawych desek, przez którą docierały do nas ciekawe rozmowy naszych przełożonych. Najchętniej po lekcjach chodziłam do pałacu z koleżanką Krysią Żakówną, aby w ciszy móc przygotowywać się do ewentualnie zadawanych nam pytań z różnych przedmiotów. Zdarzało się, że podczas nauki i wzajemnego przepytывania musiałyśmy bronić się przed upałem, polewając się wodą.

W rozległych zabudowaniach pałacowych mieszkał tylko nasz nauczyciel języka angielskiego p. Sidorowicz, który, był zszokowany, że nocami pałac tętnił życiem poprzednich arabskich właścicieli. Przekazywał nam tę informację jako zupełnie prawdziwą, bo na własne oczy widział, czym się zajmowali i słyszał odgłosy ich działań przy różnych czynnościach.

Nasz kościół

W pobliskim kościele koło merostwa odbywały się msze św. w każdą niedzielę o godz. 9-tej. Polski chór, pod dyrekcją lekarza pochodzącego z Krakowa, który uczył nas również w szkole biologii – dra Stanisława Haczkiwicza, śpiewał pieśni kościelne. W nabożeństwach uczestniczyli też Francuzi, którzy zwykli śpiewać w obronie swojej zniewolonej ojczyzny: „Pitié, mon Dieu, c'est pour notre patrie... Dieu de Clémence, Dieu Protecteur Sauvez, sauvez La France...”, a nasza polska grupa: „sauvez, sauvez La Pologne.”⁷ Poza kościołem część Francuzów czciła szefa Rządu Vichy Maréchal'a Pétain'a, śpiewając: „Maréchal Pétain, nous voilà de la France...”⁸ Polski chór śpiewał również w godzinach nocnych na falach radiowych (krótkich) pieśni patriotyczne i okolicznościowo kolędy. Francuzom przypadły do gustu chóralne śpiewy Polaków podczas nabożeństw, bo tłumnie brali w nich udział. W okresie Świąt Bożego Narodzenia pewien francuski generał wydający swą córkę za mąż, życzył sobie, aby chór zaśpiewał na ślubie kolędę:

Pospieszcie pastuszki do stajeneczki,
zaśpiewajmy Jezusowi,
zaśpiewajmy Dzieciątkowi,
zrodzonemu na niskości
chwała, chwała na wysokości

⁷ „Litości mój Boże dla naszej ojczyzny... Boże Miłosierny i Opiekunie Nasz ratuj Francję a Polacy ratuj Polskę.”

⁸ „My jesteśmy z Tobą i Francją...”

gdyż bardzo spodobała się pannie młodej. W niektórych pieśniach nabożnych jako solista występował sam dyrygent śpiewając basem, tak, że miały one końcowe brzmienie zamiast „amen” to „mamen”. Byłam bierzmowana w tymże kościele przez arcybiskupa francuskiego, otrzymując imię Barbara.

Cierpieliśmy niedogodności z powodu upałów dochodzących nieraz do 65°C w lecie, ale także z powodu sirocco i szarańczy. Owoce drzew były wtedy masowo objadane przez te owady a dzień zamieniał się w szarość, prawie nieprzenikloną z powodu naniesionego z pustyni piasku. W normalnie letni, upalny dzień na ulicach w godzinach południowych widziało się jedynie Polaków a niektórzy tubylcy leżeli pokotem na ziemi. Na słupach i drzewach odzywały się donośnymi dźwiękami cykady. Modliszki rzadko wpadały przez otwarte okna na salę, ale zawsze wywoływały przestrasz, szczególnie u jednej wrażliwej osoby – Lili Stawowczykówny.

Od listopada do końca stycznia było zimno i deszczowo, a temperatura powietrza spadała do ok. 6-ciu lub 10°C. Brakowało na salach pieców do ogrzewania, a podłogi były wyłożone posadzkami. Podczas naszego pobytu w Algierze, jeden raz zatrzęsła się ziemia, malaria była wśród nas rzadkością, a dżuma szczęśliwie nas ominęła po szczepieniu I-wszą amerykańską szczepionką. Podobnie jak opisana w powieści autora „Dżumy” Alberta Camusa, pandemia tej choroby w Maroku, w Algierze w tym samym czasie pojawiły się tylko pojedyncze przypadki tej strasznej choroby. Zapadali na nią w Algierze przede wszystkim ludzie związani z oczyszczaniem miasta. Zaraza przywieziona została w jakimś statku handlowym z Azji (podobno z Chin) wraz z ryżem i zakazonym szczurem. Dlatego pierwszą ofiarą stał się marynarz a chorobę rozpoznano w szpitalu. Zarządzenie władz francuskich zakazało hodowli zwierząt m.in. gołębi i psów. Starszy kolega, Tadeusz Ostrowski z bólem serca zlikwidował klatkę z gołębiami, a nasz „Ciapek” dostał się w ręce Amerykanów usiłował nas odnaleźć, a gdy mu się to nie udało, wracał do obozu. Po drugiej lub trzeciej próbie nieudanego powrotu, zjawił się zziąjany, toczył pianę z pyszczka. Podejrzanego o zakażenie wścieklizną, zastrzelono.

W naszym najbliższym otoczeniu rozwijała się też bardzo groźna choroba, której uległa p. Jadwiga Niedźwiedzka, matka mojej koleżanki i po krótkim pobycie w szpitalu odeszła. Pogrzeb odbył się 4 października 1942 roku. Nie doczekała „Débarquement”, którego tak pragnęła, uważała bowiem, że pojawi się ktoś z jej rodziny amerykańskiej. Rzeczywiście w miesiąc po tym nieszczęściu jej córka Mela poznała wojskowego, który był spokrewniony z jej rodziną.

„Debarquement” w Algierze

Dzień 8 listopada 1942 roku upamiętniło ważne wydarzenie historyczne, a mianowicie lądowanie wojsk alianckich – „Débarquement”. Od tego czasu nasz los poprawił się dzięki pomocy amerykańskich żołnierzy i polskich marynarzy, przede wszystkim przez dostarczenie żywności i środków czystości. Zarówno środki czystości np. mydło i niektóre artykuły żywnościowe jak chleb (1/4 kg na osobę dziennie) były reglamentowane. Soczewica była naszym przysmakiem a czasem bakłażany. Często spożywałyśmy z talerza oliwę z oliwek zmieszana z sokiem cytrynowym i rozdrobnionym chlebem. To nas trzymało przy życiu. Nie do wiary odkąd przyszła dla nas pomoc, chleb jadłam po przyłożeniu, na jego kromce, tabliczki czekolady. Zamiast ogólnie stosowanych

przedtem kostek szarego mydła, które się nie pienily a zmieszane byly jakby z klujacymi ziarnkami piasku, teraz uzywalo sie najprzedniejszej jakosci mydla toaletowego do prania i mycia.

Do portu zawijaly polskie statki handlowe jak „Sobieski”, „Batory” czy tez lodzie podwodne np. „Sokol” lub okrety wojenne np. „Garland”.

Ryc. 3. Autorka z mamą i ciotką oraz polskim marynarzem Stefanem Konatowskim w Algierze.

W Londynie, chyba w gazecie „Orzeł Biały” ukazał się artykuł o naszej kolonii w Algierze m.in. słowa: „marynarze znieśli ze statku wszystko, co się dało...”. Pewnie kapitan nie był zadowolony, bo „Sobieski” wyruszył w rejs bez zaopatrzenia w żywność. Niedługo potem zostaliśmy zaproszeni na ślub jednej z naszych pań z marynarzem ze statku „Sobieski”, panem Pawłem Kaczmarciem. Wesele iście królewskie odbyło się na statku, który stał na redzie i dojeżdżaliśmy do jego pokładu motorówką pod polską banderą.

Kilka naszych pań z kolonii powychodziło za mąż, nie tylko za marynarzy, np. Basia Rychłowska z naszej sali wyszła za mąż za Francuza, André, podobno mieszkają w Paryżu. Ojciec Basi, kapitan WP, po wojnie, zaraz po wyzwoleniu z Oflagu przyjechał do rodziny (żony, córki i syna). Słyszałam jak skomentował nasze posiłki w Algierze – „gdyby tak nas żywiono w obozie jak tu was, to dawno byśmy pomarli”.

Marynarze polscy – ludzie dobrej woli

Po wylądowaniu aliantów, spokojny dotąd Algier stał się niebezpieczny. Nagle zaczęły spadać bomby, kiedy to Niemcy rozpoczęli bombardowania Algieru ze swoich baz we Włoszech. Szczęśliwie nikt z nas nie zginął. Zdobywanie Algieru odbyło się prawie bez walk, jedynie z morza dobiegały odgłosy wystrzałów. Jednakże poszczególne ulice i domy były sprawdzane przez żołnierzy alianckich. Do naszego schroniska podeszła grupa Amerykanów, jak się okazało w większości polskiego pochodzenia, przeważnie ze stanu Massachusetts, którzy owacyjnie nas witali, a wyrazem ich radości były dosłownie „fruwające” tabliczki czekolady w kierunku naszych dzieci.

Zdarzyło się kiedyś przed Świętami Bożego Narodzenia, że kilku marynarzy gościło w naszej Sali w schronisku. O ile pamiętam byli oni ze statku handlowego „Sobieski”. Właśnie szłam przez podwórze od strony kuchni, gdy natknęłam się na gałąźe jakiegoś iglastego drzewa. Okazało się, że pochodziły one z jodły ociosanej przez rodzinę francuską, która w pobliżu nas mieszkała. Bezwiednie zabrałam gałązki i wniosłam na I piętro naszej sali. Marynarze wzruszyli się do łez, że ktoś o nich pamięta, twierdząc, że tym sposobem będą mieli na statku choinkę w czasie rejsu. Były podziękowania, a ja nie czułam się godna pochwały gdyż działałam bez określonego celu i przydatności (ryc. 3).

Polscy marynarze przywozili nam wiadomości z szerokiego świata. Dowiedziałam się o istnieniu obozów zorganizowanych dla uchodźców w Płd. Afryce i w Kolhapur w Indiach, gdzie istniały wielkie skupiska Polaków z nazwami ulic w języku ojczystym np. zależnie od wykonywanych zawodów rzemieślniczych. Stamtąd przywieziono mi lalkę „Łowiczanekę” i kosmatego pieska. W roku 1944 dostałam od któregoś z marynarzy pierwszy jednotomowy słownik angielsko-polski i polsko-angielski autorstwa J. Stanisławskiego.

Kiedy narodziła się piosenka z polskimi słowami na melodię *Marsylianki*, nie wiem. Prawdopodobnie ktoś z gości ją zaintonował a my śpiewaliśmy ją potem.

A gdy pokonamy wroga i nastąpi pokój nam,
powrócimy do rodzinnego proga
i zaśpiewamy wszyscy wraz wam:

Biada wam, Krzyżacy, żołdacy
oto nadszedł wyzwolenia czas
z aliantami u boku Polacy
pójdziem walczyć, pokonamy was.

Do boju nadszedł czas,
bić Niemców – to cel twój,
na bój, na bój, na krwawy bój,
Hej ludu, zbrój się, zbrój

Do sytuacji dramatyczno-humorystycznych zaliczyć należy jedną z nocnych ucieczek przed bombami zrzucanymi z samolotów niemieckich. Wybiegliśmy z sali schroniska do brudnej, obskurnej piwnicy, służącej za schron, a w ciemności omal nie usiadłam na ruchomym meblu, który okazał się kaskiem na głowie jakiegoś żołnierza. Żołnierz ten prawdopodobnie przechodząc ulicą podczas alarmu, obrał sobie naszą piwnicę jako bezpieczną przystań.

Moja mama zachorowała, zaatakowana amebą. Chorobę wyleczył dr Ćwikliński, od lat zamieszkały w Algierze, a p. hrabia von Hutten Czapski wspomagał ją pszennym chlebem, przez swego szofera p. Edwarda.

Bazylika „Czarnej Madonny”, czyli „Notre Dame d’Afrique”, w dużej dzielnicy arabskiej Bab-el-oued położonej nad dzielnicą Kasbah, czuwała nad nami. Usytuowana na najwyższym wzniesieniu dominowała nad Zatoką i budynkami głównych ulic Algieru: Michelet, d’Isly, Clemenceau, Waygand; parkami: de Galland, Rafael; kinami: Colisée (gdzie wyświetlano filmy angielskie i amerykańskie gdyż było to kino przeznaczone tylko i wyłącznie dla wojsk alianckich), Midi-Minuit, Régent; super-marketami: Monoprix, Priminix i Gallérie de France.

Przyjaźnie

To dziwne, że jeszcze pamiętam szczegóły opisanych przeze mnie wyżej faktów i tkwią one we mnie głęboko ukryte do dnia dzisiejszego. Nawiązałam wiele przyjaźni z koleżankami z klasy: Melą Niedźwiedzka, Krysią Żakówną i Halinką Skalską, naszą nauczycielką języka francuskiego p. mgr Wandą Małeczką-Wnorowską. Mama i ciocia przyjaźniły się z p. Kramarzową pochodzącą z Bielska-Białej, przez którą bliżej poznałam jej córkę Edytę, moją młodszą koleżankę do dzisiaj, zamieszkałą obecnie w Manchesterze. Koleżankę Jasię Sumówną – prymusa(-kę) całego gimnazjum i II klasy liceum w Algierze, spotkałam w 1947 roku w Krakowie na UJ, filologii romańskiej. Głównie widywałyśmy się na ćwiczeniach pani dr Strzałkowej. Obie uczestniczyłyśmy w zajęciach proseminaryjnych siedząc razem w pierwszej ławce. Koleżanka mieszkała na tzw. „stancji” przy ul. Łobzowskiej. Mnie marzyło się zaliczenie dodatkowego (pobocznego) studium, ale po upływie roku okazało się to niemożliwe. I tak nasze drogi rozeszły się. Jasia jako żona p. Władysława Pawłowicza wyjechała do Wrocławia, a chociaż nie korespondowałyśmy ze sobą, w pamięci pozostał mi dokładny jej adres, który zostawiła mi, wyjeżdżając: Wrocław-Krzyki, ul. Poranna 6/11 (teraz już nieaktualny, bo wysłana w latach 90-tych pocztówka wróciła). W Algierze Janina (będąc sierotą) przebywała pod opieką pani Zajączkiewiczowej, która była tam z córką Ireną i synem – nie pamiętam imienia. Zanim wyjechała z Krakowa obie „kuzynki” Janina i Irena zaprosiły mnie do pięknego dworku w Krzeszowicach pod Krakowem, który należał do pp Zajączkiewiczów w spadku po p. Hessowej. Po wojnie przeszedł on pod administrację państwa i pełnił rolę przedszkola.

Dotąd sama się dziwię, że uległam namowom mamy i pojechałam pociągiem do Mouzaia-les Mines koło Ben-Chicao ażeby skorzystać z zaproszenia p. Chylickiej-Oborskiej, Jej męża i dzieci. Było tam bardzo miło, bo tradycyjna wigilia Bożego Narodzenia, lecz w nietypowej scenerii, chociaż śniegu było wystarczająco dużo, jednak nocą słychać było znane mi już wycie szakali. Mama była przekonana, że właśnie tam nabędę więcej sił w przyjemnej atmosferze i dobrym wyżywieniu. Ja natomiast najwięcej obawiałam się jazdy pociągiem przez tunele.

Przed Świętami Bożego Narodzenia w 1944 roku pojechałam z Melą do centrum Algieru, aby odebrać nasze fotografie. Po drodze wstąpiłyśmy do supermarketu Gallérie de France w celu kupienia mojej mamie jakiegoś skromne-

go upominku na św. Mikołaja. Na parterze, w szklanej gablocie, wypatrzyłam jakiś drobiazg w sam raz na moją kieszeń. Gdy sprzedawczyni sięgnęła po wskazany kosmetyk, zjawił się jakiś Amerykanin, który uparł się, że on mi go kupi. Protestowałam aż zaczął się zbierać tłumek ciekawskich. Pisząc o tym komicznym wydarzeniu, właściwie nie pamiętam jak się to skończyło. Znajomi poinformowali mnie, że ludzie tej nacji zwykli robić tego rodzaju gesty.

Podczas długiego pobytu w Algierze odwiedził nas Gen. Kazimierz Sosnowski, do którego pamiątkowej „Złotej Księgi” wpisałam kilka zdań na polecenie dyrektora szkoły p. Stanisława Czernika. Na jego też życzenie napisałam podziękowanie polskim uczniom z Południowej Afryki za przesłane nam zeszyty i korespondowałam z jednym z nich, kol. Tadeuszem Wiczrowskim, który pochodził ze Stanisławowa i wraz z rodziną na początku wojny został wywieziony do Kazachstanu. Wiem, że później został junakiem w Aleksandrii a następnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii.

Do miejscowości Blida w Algierii gdzie znajdowało się lotnisko przylatywał też król angielski Jerzy VI, a Gen. Charles de Gaulle był widziany w samym Algierze, gdy wstępował do Prefektury usytuowanej w pobliżu Placu Rządowego (Place de Gouvernement).

Jeszcze w XIX wieku, taka rosła fama, korsarze morscy, po ograbieniu statków, na tym właśnie placu handlowali niewolnikami. Były to relacje m. in. przekazywane nam przez starca bez nóg, z długą siwą brodą, którego każdego dnia przynoszono na krawędź naszej ulicy Jules Ferry gdzie siedział całymi dniami przy drewnianej budzie.

Pewnego razu późnym wieczorem okoliczni mieszkańcy tej części El-Biaru zostali zaproszeni na wesele zamożnej pary arabskiej. Ja osobiście nie byłam na nim, ale z opowiadań mojej mamy, cioci i innych osób wiem jak ono wyglądało. Na obniżonym terenie, za wymienioną „drewnianą budą” znajdował się plac, na którym urządzono tę uroczystość. Podawano w filiżankach mocną kawę, a tancerki popisywały się wykonywaniem różnych figur tanecznych m. in. tańcem brzucha. Za urokliwe występy bywały nagradzane banknotami, które ślinami naklejane były na ich półnagie ciała.

Polscy Komandos

Do Algieru przybyli także w czasie trwania zawieruchy wojennej nasi polscy komandos w grupie ok. 107 osób po przeszkoleniu na terenie Szkocji. Stacjonowali pod Algierem w złych warunkach obozowych. Jeden z nich p. Mieczysław Dudycz przed wyjazdem do Włoch, aby tam walczyć, pozostawił nam do przechowania fotografie rodzinne, które zostały mu zwrócone we Włoszech. Wiem, że wielu komandosów z „Zielonych Beretów” zginęło m.in. w walkach o Monte Cassino.

Komandosów poznaliśmy osobiście przez zaproszenie nas wszystkich do ich obozu. Nasz ksiądz odprawił nabożeństwo wśród rozłożonych namiotów, a po podwieczorku zasiedliśmy przy rozpalonym ognisku zasłuchani w pieśni komandosów. I tak rozbrzmiała piosenka cytowana w książce „Na ścieżkach polskich komandosów” pana Mirosława Dereckiego: „Raz, naprzód śmiało, gdy piosenka wesoło brzmi, co nam zostało z tych szkockich beztrudnych dni...”. Innym razem w dniu 11 listopada 1943 roku urządzono nam w kinie Régent poranek pożegnalny przy rue Clemenceau na El-Biarze przed wyruszeniem komandosów do Włoch, aby tam walczyć.

Pod koniec wojny kilka osób starszej młodzieży nie objętej nauką szkolną wyjechało do Anglii na przeszkolenie wojskowe jako wolontariusze, młode dziewczęta służyły w wojsku jako tzw. „pestki”. Wcześniej starszy kolega, Zbyszek Podolec, zaciągnął się do wojska i zginął w walce na granicy francusko-belgijskiej. Był on bardzo dobrze zapowiadającym się karykaturzystą i malarzem, cenionym też w kręgu „znakomitości francuskich”. Rozpacz matki, która wcześniej straciła już 9-letniego syna Tadzia w wypadku drogowym w Algierze, była ogromna. Choć wszyscy wiedzieli o śmierci drugiego syna, nikt nie zdobył się na odwagę, aby ją i siostrę o tym zawiadomić. Dopiero „niewinnie” wyglądający list przesądził o tej tragedii. Nasi koledzy z klasy wstąpili do marynarki wojennej. Podobno Stefan Pawlicki zginął na morzu, gdy okręt (czy łódź podwodna) wpłynął na minę, a Jasiu Rejmer miał więcej szczęścia i przeżył.

Zaraz po zakończeniu wojny pojechałam z Melą Niedźwiedzką do centrum Algieru i wtedy natknęłyśmy się na zamieszki uliczne spowodowane przez Arabów, blisko Poczty Głównej. Na ziemi leżał ranny a może zabity człowiek, a wszystkie bramy domów były w pośpiechu zamykane. Zajeżdżały duże samochody z żandarmerią francuską, a Arabowie z pobliskich ulic wychodzili uzbrojeni w kije. Trafiliśmy do recepcji jakiegoś hotelu (na ścianie I-go pomieszczenia wisiało dużo kluczy). Okna prędko zasłaniano okiennicami, a słysząc obcą mowę, pytano nas czy lubimy Arabów. Gdy nas wypuszczono po około 1 godzinie na ulicy nie było już samochodów pancernych a jedynie trepy, opadłe z nóg Arabów. Widocznie załadowano ich do w/w samochodów.

Na zakończenie pragnę dodać, że ze szczególnym pietyzmem zwiedzałam Algierię (Algérie) dzięki zorganizowanej przez nauczycieli wycieczce dla nas, uczniów. Byliśmy u stóp Grobu Chrześcijanki o kształcie okrągłej kopuły (Tombeau de la Chrétienne) w Tipaza. Były tam też ruiny bazyliki. Oglądaliśmy miasto Cherchel, gdzie znajdowały się ruiny budowli rzymskich (jak amfiteatr i Muzeum z mozaikami i freskami) stanowiące dowód po starożytnym panowaniu Rzymian w tym regionie. W samym Algierze gromadnie zwiedzaliśmy największy meczet, oczywiście wg wymogów zdejmując buty z nóg. W wielu miejscach można było zauważyć jak Arabowie pięknie się modlą upadając na twarze np. po pracy o zachodzie słońca np. w winnicach. Doc. Wnorowski uczący nas matematyki będąc na urlopie w Bou Saâda, odwiedzał jarmarki kabylskie, razem z mieszkańcami siadywał na ziemi, jadł z nimi ugotowaną w solonej wodzie szarańczę (po odrzuceniu głowy, skrzydeł i odwłoka), czyli same tułowia. Zżył się z nimi i nawet przyjechał do Algieru przedstawiając nam spahistę, młodego człowieka wyglądającego na Europejczyka, ubranego w mundur wojskowy o spodniach z błękitnymi lampasami.

Zwiedzanie Algierii dało nam dużo satysfakcji, ponieważ wzbogaciło naszą wyobraźnię i wiedzę o historii świata.

Grono Pedagogiczne w Algierze

Dr Henryk Orliński przez pierwsze lata był dyrektorem gimnazjum i liceum a Algierze. Tytułowano go senatorem. Uczył nas łaciny.

Mgr Wanda Malecka (Wnorowska) uczyła nas języka francuskiego w Algierze i Trani. Mamy jej do zawdzięczenia nauczenie się pacierza w języku francuskim, który odmawialiśmy przed każdą lekcją, stojąc przy pulpitych. Do dziś dźwięczą mi w uszach dokładnie zapamiętane słowa: „Notre Père, qui Etes

au Ciel” i „Je vous salue, Marie, Pleine de Grâce”⁹ ... przy wspaniałej egzegezie, na najpiękniejszy, w moim mniemaniu, język świata. Po wojnie w kraju była nauczycielem akademickim Uniwersytetu Jagiellońskiego a także lektorem w PAN w Krakowie, przy ul. Sławkowskiej 17. Między innymi pani mgr Magdalena Nowak z IB PAN uczestniczyła w jej lektoratach. Znana w Polsce pod nazwiskiem 2-go męża Doc. Feliksa Wnorowskiego. Spotykałyśmy się po wojnie. Mieszkając w Krakowie przetłumaczyła kilka książek. Posiadam trzy książki z jej tłumaczeniem z języka francuskiego na język polski. Utrzymywałyśmy kontakt aż do Jej śmierci.

Dr Mirosław Ramułt uczył nas biologii w pierwszych latach, później lekarz **Stanisław Haczkiwicz**. Po wojnie zetknęłam się z pracą naukową dr M. Ramułta, z zakresu biologii, opublikowaną w Edynburgu. Instytut Botaniki PAN jest w jej posiadaniu.

Doc. dr Jan Dihm pochodził z Wadowic, uczył nas historii i geografii. Do Krakowa przyjeżdżał na zjazdy PAN. Przesłał mi swoją pracę o Tadeuszu Kościuszcze.

Ryc. 5. Świadcstwo maturalne (s. 1 i 2).

Z końcem wojny, było nam ciężko, bo pogłoska o wstrzymaniu zasiłków pieniężnych na utrzymanie mieszkańców schroniska była przerażająca. Z tego

powodu z dwiema paniami podjęłam się pracy w drukarni w dzielnicy Kasbah. Była pora deszczów, a należało wyjechać wcześniej rano trolejbusem i stojąc na betonie składać w drukarni jakieś odbitki do godziny 17-tej z przerwą dwugodzinną. Pracowałyśmy przez około 2 lub 3 tygodnie. Prefektura wypłaciła nam należne pieniądze za pracę. Duża część mieszkańców naszej kolonii była zasobna w pieniądze.

Dodatkowo otrzymywali oni za sprawą Gen. Mariana Kukiela, a na miejscu pewnie za pośrednictwem polskich władz, pieniądze z Londynu tzw. „koleżeńskie” ze zbiorów żołnierskich z terenu Wielkiej Brytanii. Pytanie, dlaczego szereg rodzin, w tym nasza, zostało pominiętych, chyba nigdy nie zostało to wyjaśnione.

Gdy tylko wojna się skończyła rząd warszawski przysłał swego konsula z pracownikami. Przeprowadzono wywiad, kto zechce wrócić do kraju w marcu 1946. Większość nie wyraziła jednak zgody na powrót do kraju w perspektywie kilku miesięcy (w marcu 1946) i z wielką ulgą skorzystała ze wspaniałomyślności Gen. Władysława Andersa, aby mieć możliwość wyjazdu do Włoch. Ten zamysł był zachowywany w głębokiej tajemnicy.

Muszę przyznać, że nigdy nie modliłam się tak gorąco, jak wtedy o Przemienienie Pańskie. Toteż, gdy któregoś wieczoru wróciłyśmy do schroniska z pracy, panowała tam wielka radość, bo już wszyscy wiedzieli oprócz nas, że za kilka dni wyjedziemy do Włoch.

Nasz pobyt w Algierze trwał 5 lat i sześć miesięcy i zaznaczył się też troską o moją chorą mamę ze strony ks. Kazimierza Sołowieja, który pośredniczył w przekazaniu pieniędzy od Papieża Piusa XII na sanatoryjne leczenie w górach w Hammam Melouane, gdzie była leczona m.in. wodą mineralną „Marabut”.

Autobus, którym mama jechała, wyruszył z Placu Rządowego (Place de Gouvernement). Czas był niespokojny, bo trwały zamieszki wolnościowe Arabów. Mama nie знаła języka francuskiego i zarządzający domem sanatoryjnym zrazu skierował ją mylnie do prymitywnego hotelu arabskiego o bardzo niskim standardzie.

Pożegnanie Algieru

W listopadzie 1945 roku statkiem „Maloja”, na którego pokładzie znajdowało się też wielu żołnierzy angielskich powróciliśmy z Afryki do Europy do Włoch. Powrót był ufundowany przez Gen. Władysława Andersa (Dowództwo II Korpusu). Zakotwiczyliśmy się w miejscowości Aversa. Był to obóz międzynarodowy nad Morzem Tyrreńskim na północ od Neapolu. Stamtąd samochodami zawieziono nas do Trani a niektórych do Barletty, gdzie był węzeł kolejowy.

Trani, Południowo-Wschodnie Włochy

W Trani koło Bari nad Morzem Adriatyckim w Apulii (Puglia) część z nas tj. w wieku szkolnym na poziomie gimnazjum i liceum uczyła się w internacie dla ok. 400 uczniów. Tam też składałam dużą maturę. Pośród uczniów było wielu, przybyłych niedawno z niemieckich obozów koncentracyjnych i jenieckich oraz przymusowych robót w Niemczech, wspaniałych, młodych ludzi, którzy walczyli np. w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku.

Po ukończeniu nauki, nie wiedząc nic o naszej przyszłości mieliśmy się rozproszyć z tego miejsca po wszystkich zakątkach ziemi.

Nauka w Trani

Naukę w drugiej klasie liceum (maturalnej) rozpoczęłam spóźniona, bo 28.XI.1945. Było nas w tejże klasie tylko 6 koleżanek z Algieru, jako najmłodsze wiekiem spośród wszystkich. Kolegów starszych od nas o około pięć lat było 12-tu, przybyłych z różnych stron (Ryc. 4 i 5). Nauka trwała do czerwca 1946 roku. Co mogłam zapamiętać z tak krótkiego okresu czasu? Jedyne to najważniejsze, że w dniu zdawania matury byliśmy głodni, bo nikt nie zadbał o to, aby nam pozostawić obiad w kuchni. Ale oczywiście pamiętam też, że przez pewien czas byliśmy zapraszani na podwieczorki do Domu PCK, położonego w bliskości. Tam nawet trochę pracowałam w czasie wakacji i dostałam wynagrodzenie w naturze, czyli konserwy, które zawiozłam mamie do szpitala. Był on ponad miarę przepełniony chorymi. Ze strachem chodziło się tam w odwiedzinach. Na oddział wewnętrzny przechodziło się przez wielką „halę” z całym tłumem chorych zainfekowanych chorobami zakaźnymi.

Mieszkaliśmy w internacie. Chodziłyśmy 3 razy dziennie, trójkami, ubrane w mundurki, ze śpiewem na ustach (piosenki akowskie) do obozu na posiłki (Ryc. 6). Kierowniczką internatu była pani Hanna Krzyżanowska, a jej zastępczynią p. Młotkowska. Dziewczęta od czasu do czasu jeździły na zabawy taneczne do Matery, gdzie byli polscy oficerowie, tam grała orkiestra wojskowa i spędzały czas w miłym nastroju. Wiele z nich powychodziło za mąż za partnerów, z którymi tańczyły. Obecnie przebywają a Australii, Wielkiej Brytanii lub USA.

Pewnego dnia do internatu przyszła wiadomość, że nasz kolega oczekujący wraz z matką i siostrą na transport z Algieru do Polski w marcu 1946 r. – nie żyje. Niespodziewanie został on zastrzelony na ulicy El-Biaru przez pijanego marynarza francuskiego. Tragiczny finał rozegrał się w sądzie, matka winowajcy – Francuska, w unижony sposób (klęcząc) błagała o litość i o darowanie kary jej synowi.

Najwięcej zapadły mi w pamięć wycieczki zorganizowane do ważnych miejsc we Włoszech w dwóch grupach i bliskich odstępach czasu. Jechałyśmy w dużych samochodach krytych plandekami, wyposażonymi w długie ławki. Najpierw do Neapolu zwiedzić okolice Herkulanum i sam Wezuwiusz. Nie wszyscy podołali wspinaczce do samego wierzchołka krateru. Po dawnych wybuchach wulkanu na zastygłej lawie rosły czerwone kwiaty na długich łodygach. Na Capri przewoźnicy ukazywali nam uroki Lazuruwej Groty i ostrzegali przed nisko położoną skałą, a więc głowy nasze musiały być pochylone. Na wzgórzu znajdowała się willa Axel Muntha, częściowo zamieniona na muzeum, gdzie mieściły się starożytne zabytki m. in. skarby wydobyte z dna morza jak np. kamienne płyty, pokryte mozaikami, na których podobno kobiety prały bieliznę. Sam właściciel nie wyszedł do nas, bo był już ociemniały, ale Księgę z San Michele, jego autorstwa, każdy powinien znać. Zwiedzaliśmy też Białą Grotę jako fenomen natury, gdzie zobaczyliśmy zwisające, jakby sople skalne.

Ryc. 6. Trani, przejście dziewcząt z internatu do obozu na obiad.
Autorka pierwsza w środkowym rzędzie.

W Rzymie zwiedzaliśmy chyba wszystkie katedry, a do fontanny di Trevi wrzucaliśmy monety, aby w legendarnym przekonaniu ponownie znaleźć się w tym miejscu. W dniu, kiedy byliśmy w Watykanie, papież niestety nie udzielał audiencji. 12 maja 1946 roku w 11 rocznicę śmierci marszałka Piłsudskiego, pod jego pomnikiem, jakaś delegacja składała kwiaty w parku im. Gen. Garibaldi – bohatera narodowego Włoch. Widzieliśmy też Forum Romanum, Colosseum – wielki amfiteatr rzymski i inne zabytki. Jeszcze wcześniej byliśmy w Pompei – zdaję sobie sprawę, że nie opisuję tej wycieczki po kolei.

Największym wrażeniem było dla nas Monte Cassino, sam klasztor O.O. Benedyktynów uległ prawie całkowitemu zniszczeniu, a cmentarz Polaków był zadbany. Wokół płyty z nagrobkami widniał napis: „Przechodniu powiedz Polsce, że polegliśmy wierni jej służbie.” Pamiętam, że na wzgórze jechało się niebezpiecznymi serpentynami. Końcowym etapem podróży było krótkie zwiedzenie Mediolanu i otrzymanie biletów na jakąś operę w Teatrze La Scala.

Pod koniec nauki w szkole, trzech chłopcy a nasi koledzy, zostali wytypowani przez środowisko duchownych na studia na wyższych uczelniach w Madrycie. Byli to: **Władysław Bobrek** (drużynowy harcerzy), który wybrał chemię. Po studiach wyjechał do Peru i związał się z Uniwersytetem w Trujillo. **Adam Włodarczyk**, wybrał medycynę i pracuje jako wzięty lekarz w USA. **Zdzisław Grudziński** wybrał kierunek inżynierski i podobno wrócił do Polski. Wszyscy wyżej wymienieni otrzymali stypendia pochodzące z Watykanu. Byliśmy też uczeni propedeutyki filozofii i religii przez nieocenionego teologa ks. Dr Franciszka Mączyńskiego, więźnia obozów jenieckich. Uczestniczyliśmy w odprawianych przez niego mszach św. w pobliskiej kaplicy. Ks. dr F. Mączyński do końca życia pracował w Pontificio Istituto Polacco w Watykanie. Długie

lata otrzymywałam od Niego pozdrowienia na kolorowych widokówkach (również z Papieżem Janem Pawłem II), oraz fotografie (ryc. 7).

Wyjazd do Wielkiej Brytanii i powrót do Polski

Trani opuściłam wraz z mamą, odebraną w ostatniej chwili ze szpitala, udając się grupowo 13 sierpnia 1946 r. do Anglii, przede wszystkim drogą lądową. Najpierw dotarliśmy do portu Calais we Francji a stamtąd drogą morską, po uspokojeniu się olbrzymiego sztormu na kanale La Manche, do Dovru w Anglii. Zamieszkałyśmy w obozie West Chilmington koło Pulborough w hrabstwie Sussex. Po pewnym czasie mamę przeniesiono do szpitala w Diddington (a może Doddington?) a potem do Storrington. Aby nie marnować czasu i móc przebywać w ogrzewanym baraku (w innych panował okropny ziąb) wykonywałam robotki ręczne z włóczki na drutach, za co mi sownie zapłacono.

Ryc. 7. Grono Pedagogiczne (na pierwszym planie) i uczniowie w Trani.

Pod koniec maja 1947 roku wyruszyliśmy pociągiem z południa Anglii na północ (z trzema przesiadkami) do Szkocji. Potem z portu Leith wypłynęliśmy, wraz z innymi repatriantami, statkiem „Eastern Prince” do Gdańska. Na miejscu byliśmy 12 czerwca a już następnego dnia dotarliśmy do Krakowa. To wreszcie w Krakowie, 13 czerwca 1947 roku, skończyła się nasza tułaczka uchodźcza, a zaczęło, równie nie lekkie, życie w upragnionej ojczyźnie.

Przed wyjazdem z obozu w Anglii do Szkocji kierownictwo kilkakrotnie zachęcało mnie do zastanowienia, czy rzeczywiście chcę trwać w postanowieniu o powrocie do Polski. Ja byłam niezłomnie, samodzielnie i patriotycznie nastawiona do swojej decyzji, ale moja chora mama miała odmienne zdanie, gdyż przebywając w szpitalu doszły ją słuchy, że powracający z zagranicy repatrianci

są traktowani od początku bezdusznie, jeśli nie okrutnie, przez samych rodaków w kraju.

W Gdańsku przyjmowano nas w celu załatwienia niezbędnych formalności. Przyznam, że to, co zobaczyłam przeraziło mnie do głębi, czułam potrzebę ucieczki na statek, bo tak wyglądało przyjmowanie nas: sala była pusta, bez krzeseł i ławek, z okienkiem, do którego ustawiała się kolejka po różne skierowania do miejsca zamieszkania. Jakaś Angielka, żona polskiego wojskowego, z dzieckiem na ręku raz po raz oglądała się za siebie, co wzbudziło zainteresowanie innych oczekujących w kolejce. I co ujrzałam? W rogu sali stała oparta o ścianę ogromna siekiera, która była dla nas jakimś złowieszczym symbolem, sposobem ostrzeżenia. To ja ponosiłam winę za to, że przyjechałyśmy, ale dosłownie pchała mnie jakaś niewidzialna siła „przeznaczenia” – do umiłowanej Ojczyzny. Teraz trzymając w ręku zapomniany paszport z Algieru wystawiony przez konsula R. Putryńskiego w 1944 roku, stwierdziłam, że mogłam jeszcze zawrócić, bo miałam miesiąc czasu (termin ważności brzmiał 22 lipca 1947 r.). Szczęśliwie jednak byłam już w rodzinie, z mamą i tatą.

Nie mieliśmy mieszkania (nie mogliśmy wrócić do tego, opuszczonego w 1939 roku), ani żadnego dobytku. Gdy po około czterech miesiącach dostaliśmy z „przydziału” upragnione mieszkanie, okazało się ono o bardzo prymitywnym standardzie. Nie mieliśmy też, żadnego wyposażenia do niego. Jedyńm komfortem była zimna woda ciekąca z kranu kuchennego. Toaleta była wspólna na drewnianym ganku, oczywiście bez zbiornika na wodę. Kuchnia o dziurawej ścianie i prowizorycznie zabezpieczonym suficie wyraźnie nosiła ślady potężnego wstrząsu, jaki miał miejsce obok, w czasie zniszczenia III-go mostu na Wiśle, gdy wycofywali się Niemcy i wyzwalamo Kraków, w styczniu 1945 roku. Było to przy ul. Wita Stwosza 11/6, później zmieniono jej nazwę na ul. Piwną (w Podgórzu).

Ojciec pracował w magistracie, nikt nam nie pomagał, a życie zaczynaliśmy, od przysłowiowego garnuszka. Żyliśmy w ubóstwie, bo przez cały okres studiów (anglistyka) na Uniwersytecie Jagiellońskim odmawiano mi przyznania stypendium (podobno kierując się względami powrotu naszego z Zachodu a nie ze Wschodu). Tak przynajmniej oceniała to organizacja „Bratniak”, która wizytowała nasze mieszkanie. Często podejmowałam próby zaangażowania się do jakiejś pracy zarobkowej, ale proponowano mi tylko pełne etaty, których nie mogłam przyjąć ze względu na studia stacjonarne i opiekę nad obłożnie chorą mamą. Mimo nadmiaru obowiązków zaraz po otrzymaniu absolutorium uczelnianego objęłam pierwszą pracę, niezwiązaną ze studiami, w lutym 1952 roku, równocześnie pisząc pracę magisterską. W Instytucie Botaniki PAN (była to moja czwarta i ostatnia praca trwająca ponad 25 lat) pracowałam w bibliotece, prowadząc wymianę zagraniczną publikacji.

Niezwykłym etapem naszego rodzinnego życia było przygarnięcie latem 1948 roku, zaleknionego, rocznego psa „Żaby” przypominającego owczarka nizinnego. To inteligentne zwierzątko doznało u nas wielkiej metamorfozy i w ciągu półroczka przekształciło się w wierne i uczuciowe. „Żaba” była towarzyszką mojej obłożnie chorej mamy przez wiele godzin nieobecności ojca i mojej w ciągu dnia. Rozumiała każde prawie słowo i polecenie, bo tak nauczyła ją mama. Darzyła nas wyjątkowym przywiązaniem, ale została otruta przez złych

ludzi. Od tej pory, czyli po 25 marca 1955 roku u ojca wystąpiły pierwsze objawy b. poważnej choroby trwającej 10 lat (aż do śmierci).

*

PS. Pamiętnik został napisany z potrzeby serca w imię: „póki życie trwa i pamięć nie zawodzi”.

Romana Łukasik

• **SPRAWOZDANIE Z MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI PN. „LEKARZE POLSCY NA SYBERII OD XVIII DO XX WIEKU” ZORGANIZOWANEJ DZIĘKI FINANSOWEJ POMOCY URZĘDU MIASTA ŁODZI**

Konferencja odbyła się w Łodzi w dniach od 29 do 31 października 2007 r. w pomieszczeniach Instytutu Medycyny Pracy przy ul. Św. Teresy 8. Patronat Honorowy nad konferencją objął Prezydent Miasta Łodzi pan dr Jerzy Kropiwnicki. Konferencję zorganizowały następujące instytucje:

1. Katedra i Zakład Historii Medycyny i Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Łodzi;
2. Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny i Farmacji;
3. Komisja Badań nad Historią Syberii Komitetu Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Honorowym Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego był JM Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pan prof. dr hab. med. Andrzej Lewiński. Spiritus movens Konferencji, czyli główny jej inspirator i realizator – prof. dr hab. med. Jerzy Supady – sprawował de facto funkcję koordynatora wszelkich poczynań związanych z organizacją spotkania, przewodząc Komitetowi Organizacyjnemu. Poza tym do Komitetu Organizacyjnego weszli w charakterze wiceprzewodniczących panowie profesorowie: Zbigniew Wójcik z Warszawy i Antoni Kuczyński z Wrocławia oraz członkowie: Pani Bożena Kuzara, Pani mgr Marta Miśkiewicz i Pan mgr Piotr Machlański (związani z Katedrą i Zakładem Historii Medycyny i Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Łodzi).

Problematyka konferencji obejmowała następujące bloki zagadnień tematycznych:

1. Lekarze polscy na Syberii jako więźniowie i zesłańcy;
2. Lekarze polscy pracujący dobrowolnie na Syberii;
3. Lekarze polscy w armii rosyjskiej;
4. Lekarze polscy biorący udział w badaniach i rozwoju cywilizacyjnym Syberii;
5. Lekarze polscy w Armii gen. Władysława Andersa.

Dwudniowy program obrad uwzględnił 32 referaty, w tym wystąpienia gości z Rosji, wygłaszane przede wszystkim w auli Instytutu Medycyny Pracy. Ramowy plan konferencji obejmował uroczystość inauguracyjną z udziałem Prezydenta Miasta Łodzi, w zastępstwie którego przybyła do Instytutu Medycyny Pracy pani Wiceprezydent Miasta Łodzi Halina Rosiak, oraz JM Rektora Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pana prof. Andrzeja Lewińskiego. Organi-

zatorzy zaprosili na inaugurację łódzkiego duszpasterza akademickiego ks. Pawła Sudowskiego i prezesa „Wspólnoty Polskiej” pana prof. Andrzeja Stelmachowskiego oraz dyrektora Instytutu Medycyny Pracy pana prof. Konrada Rydzyńskiego; dwaj ostatni z powodu rozlicznych obowiązków nie zaszczylicili swoją obecnością uroczystości otwarcia konferencji. Po powitaniu gości przez prof. Jerzego Supady’ego wygłosili kolejno okolicznościowe przemówienia: Wiceprezydent Miasta Łodzi pani Halina Rosiak, JM Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pan prof. Andrzej Lewiński, duszpasterz akademicki ks. Paweł Sudowski, pan prof. Zbigniew Wójcik oraz pan prof. Antoni Kuczyński. Poza tym Wiceprezydent Miasta Łodzi Pani Halina Rosiak i JM Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi Pan prof. Andrzej Lewiński złożyli na ręce prof. Jerzego Supady’ego pisemne pozdrowienia dla uczestników konferencji oraz wyrazy uznania dla jej organizatorów.

W pierwszym dniu obrad (29 października) odbyły się dwie sesje naukowe. Pierwszą prowadził pan prof. Tadeusz Brzeziński, drugą pan prof. Antoni Kuczyński. Drugi dzień obrad (30 października) podzielony był na trzy sesje, którym przewodniczyli kolejno panowie profesorowie: Zbigniew Wójcik z Warszawy, Roman Meissner z Poznania, Jerzy Supady z Łodzi i Albin Głowacki z Łodzi.

Uczestników konferencji, którzy przyjechali do Łodzi, zakwaterowano w Instytucie Medycyny Pracy. Tamże serwowano dla nich posiłki (śniadanie, obiad, kolacja), a w przerwach obrad przygotowywano kawę, herbatę i ciastka. Wszyscy obdarowani zostali materiałami promującymi miasto Łódź i Łódzki Uniwersytet Medyczny, a także otrzymali identyfikatory z nazwą i datą konferencji oraz z imieniem i nazwiskiem. Posiadający znaczne walory edytorskie, wydrukowany na kredowym papierze program konferencji zawierał na stronie tytułowej herb miasta Łodzi oraz informację, iż „Międzynarodowa konferencja *Lekarze polscy na Syberii od XVIII do XX wieku*, zorganizowana (została – J.S.) dzięki finansowej pomocy Urzędu Miasta Łodzi”. Wewnątrz broszurki programu zamieszczono dwa wiersze więźniarki GUŁagu, poetki Beaty Obertyńskiej („Gwiazda Polarna”, „Suplikacje”) oraz fotografię więźniów i mapkę Syberii. Ponadto na sali obrad (aula) zawieszono wykonany przez artystę plastyka pionowy transparent z napisem informującym o nazwie i dacie konferencji, zaopatrzony również w herb m. Łodzi.

Kolejnym przedsięwzięciem promocyjnym m. Łodzi była uroczysta kolacja (29 października, godz. 20) w zabytkowych wnętrzach eleganckiej restauracji pod nazwą „Klub Spadkobierców” przy ul. Piotrkowskiej 77, poprzedzona pamiątkową fotografią w wykonaniu artysty fotografa w stroju z la belle epoque. Podobne intencje promocyjne przyświecały organizatorom konferencji, którzy zaprosili jej uczestników na autokarową wycieczkę z profesjonalnym przewodnikiem po Łodzi w dniu 31 października br. Trwające 5 godzin zwiedzanie miasta uwzględniało w programie m.in. Cmentarz Żydowski, pałac fabrykanta Poznańskiego, Manufakturę, pałac fabrykanta Kindermana, Muzeum Kinematografii w pałacu fabrykanta Scheiblera, Stare Miasto, Plac Wolności, fragment ulicy Piotrkowskiej, ciągi ulic m.in. Narutowicza, Gdańskiej, Zachodniej, Zielonej, Al. Kościuszki i Wojska Polskiego. Poza tym zaprezentowano gościom niektóre skupiska miejskiej zieleni, m.in. parki: im. Matejki, Moniuszki, Staszica, Poniatowskiego, a także łódzkie dworce (Fabryczny i Kaliski) i ko-

ścioły (m.in. Katedrę). Pokazano również ciekawe przykłady łódzkiej architektury fabrycznej z przełomu XIX i XX wieku. Powrót do Instytutu Medycyny Pracy wiódł ulicą Rokicińską oraz Alejami Piłsudskiego i Włókniarzy.

Na zakończenie organizatorzy konferencji obdarowali przybyłych do Łodzi gości publikacjami książkowymi na temat dziejów łódzkiej opieki zdrowotnej autorstwa prof. Jerzego Supady'ego. Uczestnicy konferencji bardzo chwalili jej wysoki poziom merytoryczny (naukowy) oraz aspekt organizacyjny spotkania. Zaskoczeni byli urodą miasta, którego albo nie znali, albo znali bardzo powierzchownie. Komplementy będące udziałem wszystkich gości, stanowiły dla organizatorów miłą nagrodę za realizację zamysłu konferencji i trudy z nią związane.

Konferencja znalazła szeroki wydźwięk w lokalnych mediach. Mówiono o niej w łódzkiej audycji telewizyjnej, w miejscowych rozgłośniach radiowych a w lokalnej prasie („Dziennik Łódzki”, „Expres Łódzki”) opublikowano informacje na jej temat. Organizatorzy wysłali sprawozdania z Konferencji do kilku ogólnokrajowych czasopism naukowych („Przegląd Wschodni”, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny”, „Analecta”). Referaty wygłoszone na konferencji zostaną w najbliższym czasie ogłoszone w formie publikacji książkowej i stanowić będą interesujące kompendium wiedzy o działalności lekarskiej Polaków za Uralem.

Jerzy Supady

• PRZYWRACANIE PAMIĘCI

Latem 2007 roku na cmentarzu w miejscowości Siołki k. Luszniewa na Białorusi staraniem członków tamtejszej Polskiej Macierzy Szkolnej został wzniesiony pomnik nagrobny generała Józefa Kopcia uczestnika powstania kościuszkowskiego (1794). W dziejach związków polsko-syberyjskich to postać powszechnie znana, bowiem dostał się on do rosyjskiej niewoli w bitwie pod Maciejowicami i zesłany został na Kamczatkę. Jego wspomnienia z zesłania obfitują w wiele realiów kulturowych dotyczących syberyjskich etnosów, przybliżają widoki syberyjskich miast owych czasów, tundry i tajgi oraz panujących tam warunków klimatycznych. Józef Kopeć związany był z Ziemią Braclawską na terenie dzisiejszej Białorusi, tam bowiem miał rodzinny majątek, który został skonfiskowany po upadku powstania. Po pewnym czasie odzyskał go jednak i osiadł w rodzinnym majątku ciesząc się wolnością oraz szacunkiem okolicznych dworów i ich mieszkańców. Tam zmarł i pochowany został w rodzinnej kaplicy grobowej. Nie zachowała się ona jednak do naszych dni, ale za to przetrwała pamięć o walecznym generale. Stąd też mieszkający tam Polacy odgrzebują stale polskie wątki związane z historią tej ziemi. Postanowiono więc wskrzesić pamięć o ich „ziemlaku”, powstańcu i zesłańcu na Kamczatkę poprzez ufundowanie mu symbolicznego grobu.

Projektantką pomnika była Eulalia Pietkiewicz. Na czarnej granitowej jest wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, poniżej zaś napis: śp. Józef Kopeć generał powstania kościuszkowskiego, data urodzin i śmierci. Na płycie nagrobnej widnieje herb Kopciów: Kroje i pierścień z napisem „Ojczyzna Obrońcy Swemu”, który za powstańczą waleczność J. Kopeć otrzymał od Naczelnika Tadeusza Kościuszki

Pomnikiem opiekują się: parafia Dryświaty, szkoły w miejscowościach: Karasino, Dryświaty, Mieżany, Opsa, Kupczeli oraz Polska Macierz Szkolna istniejąca od ponad 100 lat, a jej działalność na Białorusi została wznowiona 10 lat temu. Prezesem Macierzy jest Stanisław Sienkiewicz a jej oddziały znajdują się w Mińsku, Brześciu, Wilejce i Brasławiu. Macierz Szkolna poszerza wiedzę o polskiej kulturze i historii, opiekuje się grobami bohaterów „Kraju Ojcowskiego”, organizuje konkursy plastyczne, poetyckie i sportowe zgodnie z dewizą „Pamiętajmy, że Polska tam gdzie jesteśmy my.”

Mieczysław Kopeć

• TESTAMENT ZESŁAŃCA

Godnym uwagi i przedstawienia współczesnemu pokoleniu jest testament Włodzimierza Jalskiego, zesłanego na Syberię po 1863 roku, gdyż odmówił przysięgi na wierność Carowi. Umarł tam w 1875 roku Nie wiem kim był, ani też dlaczego ten jego testament wydrukowany został w 1939 roku w „Gazecie Rolniczej, z dnia 11 marca. Być może zachwycił kogoś, tak jak mnie, wzorcem życiowej postawy, nakazanej jego potomnym. Upowszechniam ten interesujący, zarazem budujący dokument przeszłości, jako prawnuczka zesłanego z Wilna na Sybir w 1848 roku spiskowca Franciszka Dyonizego Cywińskiego herbu Puchała i wnuczka Tadeusza Zygmunta Więckowskiego herbu Prus, którego starszy brat Wandalin, uczestnik Powstania Styczniowego, zesłany na Sybir nigdy do kraju nie wrócił i stracił wszelki kontakt z rodziną. Odnalazł ją 110 lat później jego wnuk Walentyn Wienckowski

*Maria Radomska
Sanitariuszka AK „Wacka” w 1944 roku*

*

TESTAMENT DLA MOICH SYNÓW, DLA ODCZYTYWANIA CO ROK W ROCZNICĘ MOJEJ ŚMIERCI

1. *Redde quod debes...* Bogu oddawaj złoto miłości, kadzidło modlitwy i mirrę pokuty.
- ✓ Rodzicom cześć – a po śmierci pomoc duchową. Starszym – uszanowanie, przełożonym – posłuszeństwo, słudze – zapłatę. Bliźniemu uprzejmość i pomoc.
- ✓ Wiernie spełniaj wszelki obowiązek. Długi oddawaj. Obietnic dotrzymuj. Nie spóźniaj się nigdy ani minutę.
- ✓ W małych i wielkich rzeczach zachowaj porządek. Miarą porządku niech ci będzie wszystko moc zjednywać po ciemku.
- ✓ Czyn rzecz każdą, jak gdyby była jedyną na świecie. Co mogłeś lepiej zrobić – jest źle zrobionym.
- ✓ W sporze z bliźnim wstawiaj się w jego położenie, abys mu krzywdy nie żądał, ale nawet nie mógł jej żądać.
- ✓ Rano wstawaj! W tym są skarby zdrowia, rozumu, czci i dóbr wszelkich.
- ✓ Zdrowia nie marnuj żadnym zbytkiem, choćby rzeczy dobrej w sobie. Nie rób z dnia nocy.

- ✓ Miej sobie za szczególną przyjemność jadać umiarkowanej jeszcze od zwierząt; one jadają do sytości, nigdy do przesyty.
- ✓ Głupim jest, kto o zdrowie nie dba, póki mu służy, a potem ofiaruje Bogu i ludziom niedołączną pracę i próżne stękanie.
- ✓ Nie ufaj sobie więcej niż drugim. Jeśli bowiem siebie znasz, to wiesz, żeś słaby.
- ✓ Staraj się nie palić tytoniu. Palenie drażniąc nerwy prowadzi do picia, a wódka odziera człowieka z godności i wszelkiego dobra. Unikaj też gry w karty – tego pracowitego próżniactwa.
- ✓ Nie marnuj ani grosza, ani minuty.
- ✓ Kochaj się w prawdzie, nie obrażaj jej nawet żartem.
- ✓ Poważaj każdego i bądź dla niego w sercu życzliwy, a nie tylko zewnętrznie uprzejmym.
- ✓ Takie oto cnoty Tobie tu przedstawiam, abyś je zamięłował miłością przodków.
- ✓ Wystrzegaj się dumy ziębiącej serce.

• **ODSŁONIĘCIE POMNIKA PAMIĘCI GEN. A. E. FIELDORFA „NILA” – SYBIRAKA**

Generał August Emil Fieldorf „Nil” był legendarnym dowódcą, ściśle związanym z Armią Krajową. Jako żołnierz Związku Strzeleckiego utworzonego przez Józefa Piłsudskiego, przeszedł 14 sierpnia 1914 roku chrzest bojowy pod Brzegami. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920, a w 1939 roku walczył w składzie 12 Tarnopolskiej Dywizji Piechoty. Ciesząc się bezgranicznym zaufaniem przełożonych był pierwszym emisariuszem wysłanym z Londynu do kraju. Od jesieni 1942 roku był komendantem „Kedywu”, przyjmując pseudonim „Nil”. Dnia 29 września 1944 roku mianowany został generałem brygady. Aresztowany przez NKWD w 1945 roku, nie rozpoznany i brany za kogoś zupełnie innego, znalazł się w sowieckich łagrach na Syberii gdzie pracował przy wyrębie tajgi.

Do kraju powrócił ciężko chory w 1947 roku. Tutaj na Jego trop trafił Urząd Bezpieczeństwa i w roku 1950 został on aresztowany i poddany uciążliwemu pod względem fizycznym oraz psychicznym śledztwu. Postanowienie o aresztowaniu wydała ppłk. Helena Wolińska będąca prokuratorem wojskowym, obecnie przebywająca w Londynie. Wyrokiem Sądu Wojskowego skazano Go na śmierć. Ówczesny Prezydent Bolesław Bierut, nie orzekł wobec Generała prawa łaski. Wyrok wykonano przez powieszenie dnia 24 lutego 1953 roku. Do dzisiaj mimo usilnych starań nie ustalono miejsca jego pochówku.

W 89 rocznicę Święta Niepodległości (2007) w Parku im. dr H. Jordana w Krakowie odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika Generała „Nila”, dłuta artysty rzeźbiarza Wojciecha Sieka. Fundatorami zaś byli Kazimierz Holewa, prezes Towarzystwa Parku im. dr H. Jordana oraz dr Halina Barycz. W parku tym znajdują się pomniki: Jana Pawła II, ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego, Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego, Marii Skłodowskiej-Curie i innych wybitnych Polaków. Uroczystość uświetniły: kompania honorowa Wojska Polskiego, orkiestra garnizonu krakowskiego, szwadron ułanów, drużyny harcerskie, organizacje kombatanckie, w tym także Związku Sybiraków i liczne

rzesze mieszkańców Królewskiego Miasta Krakowa. Odczytano został list córki Generała Marii Fieldorf-Czarskiej, zaś w uroczystości brała udział Jego bratanka Prof. Maria Fieldorf, z mężem Leszkiem Zachutą.

Wiesław Krawczyński

1. GOŚĆ Z MOSKWY

W grudniu 2007 roku przybyła do Krakowa studentka Uniwersytetu Historii i Archiwum w Moskwie Nastia (Anastazja) Podborska, która przygotowuje rozprawę doktorską na temat Polaków w Kraju Krasnojarskim. Przyjechała w ramach wymiany jej uczelni z Uniwersytetem Jagiellońskim. Jest ona córką Olgi Podborskiej mieszkającej w Krasnojarsku, która przed laty rozpoczęła śledzenie polskich śladów w tej części Syberii i doprowadziła do powstania tam organizacji zrzeszającej członków mających świadomość swoich polskich korzeni. We współpracy z Biblioteką Jagiellońską zorganizowała ona w Krakowie wystawę ukazującą związki Polaków z Krasnojarskiem na której prezentowane były także pamiątki zesłańcze członków Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków, których wichry wojny rzuciły w tę część Syberii.

Pamiętam także i swój tam pobyt, przeto starałem się opowiedzieć Nastii ten fragment mej zesłańczej tułaczki. Przeprowadziła ona także w Krakowie kilka wywiadów z sybirakami, którzy ongiś przebywali w Krasnojarskim Kraju. Interesowały ją warunki życia na zesłaniu, rodzaje wykonywanej pracy, relacje między zesłańcami różnej narodowości, stosunek miejscowych władz do zesłańców, formy dyscyplinowania ich oraz represyjność obozowych nadzorców. Wywiady te dadzą jej możliwość przedstawienia zesłańczych losów w przygotowywanej rozprawie doktorskiej i skonfrontowania ich z materiałami zachowanymi w rosyjskich archiwach. Urzeczona naszym krajem oraz Królewskim Miastem Kraków, Nastia ma zamiar przyjechać tu kolejny raz by uczestniczyć w kursie języka polskiego.

Wiesław Krawczyński

SPRAWOZDANIE Z PRAC KOMISJI SYBERYJSKIEJ KOMITETU HISTORII NAUKI I TECHNIKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK W 2007 ROKU

W okresie sprawozdawczym Komisja pracowała w końcówce kadencji organów korporacyjnych Polskiej Akademii Nauk z lat 2003-2007 oraz w pierwszych miesiącach kadencji 2007-2010. Wcześniej nazywała się Komisją Badań nad Historią Syberii – obecnie Komisją Syberyjską (powrót do dawniejszej nazwy). W minimalnym stopniu zmienił się jej skład osobowy. Pozostały, jak wcześniej, formy działania: posiedzenia naukowe, udział w krajowych i zagranicznych konferencjach naukowych, pomoc merytoryczna osobom zainteresowanym problematyką syberyjską.

Komisja liczy 23 członków, z czego 7 osób jest członkami Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, a pozostali to wybitni specjaliści z różnych ośrod-

ków naukowych w kraju. Są to: **a) Członkowie Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN:** prof. Stanisław Alexandrowicz, Toruń; prof. Kalina Bartnicka, Warszawa; prof. Maria M. Blombergowa, Łódź; dr Hanna Krajewska, Warszawa; prof. Antoni Kuczyński, Wrocław; prof. Zbigniew Wójcik, Warszawa, doc. Leszek Zasztowt, Warszawa; **b) Inni:** dr Anna Brus, Warszawa; prof. Wiesław Caban, Kielce; dr Mariusz Chrostek, Rzeszów; dr hab. Barbara Jędrychowska, Wrocław; dr Katarzyna Kość, Warszawa; doc. Edward Malak, Warszawa; dr Anna Milewska-Młynik, Warszawa; prof. Eugeniusz Niebelski, Lublin; dr Joanna Schiller, Warszawa; dr Zofia Strzyżewska, Warszawa; prof. Jerzy Supady, Łódź; mgr Lucyna Szaniawska, Warszawa; prof. Wiktoria Śliwowska, Warszawa, dr Dorota Zamojska, Warszawa; mgr Mahmud Taha Żuk, Warszawa.

Przewodniczącym Komisji z wyboru w Komitecie Historii Nauki i Techniki PAN, jest prof. Z. Wójcik, natomiast na wewnętrznym posiedzeniu Komisja wybrała prof. A. Kuczyńskiego jej wiceprzewodniczącym i mgr M. Taha Żuka na sekretarza. Wzorem lat poprzednich Komisja zbierała się 5 razy w roku na posiedzenia referatowe: trzy razy przed wakacjami i dwa razy po wakacjach, przy frekwencji od 15 do 20 osób, zawsze z dyskusją na wysokim poziomie merytorycznym.

Niemal w każdym posiedzeniu uczestniczyli także historycy ze Wspólnoty Niepodległych Państw, przebywający w tym czasie w Warszawie na stażach naukowych (PAN i uczelnie wyższe), bądź jako stypendyści Kasy im. Mianowskiego. Zwykle podczas posiedzeń wymieniano się informacjami o krajowych i zagranicznych konferencjach naukowych, w tym także na temat wsparcia merytorycznego udzielanego przez Kongres Polaków w Rosji polskim stowarzyszeniom na Syberii. Zawsze też prezentowano na posiedzeniach najnowszą literaturę dotyczącą kontaktów polsko-syberyjskich. Znaczna część referatów wygłaszanych na posiedzeniach była później publikowana na łamach „Wrocławskich Studiów Wschodnich” oraz „Zesłańca” redagowanych przez A. Kuczyńskiego.

Tytuły referatów na posiedzeniach: **22 stycznia 2007.** Zebranie tematyczne: Władysław Kotwicz (1877-1944), orientalista – 135. rocznica urodzin. Referaty: dr Jerzy Tulisow, Warszawa – Życie i działalność W. Kotwicza; dr Ewa Dziurzyńska, Kraków – Spuścizna W. Kotwicza w Archiwum PAN/PAU w Krakowie; mgr M. Taha Żuk, Warszawa – Karaimscy i muzułmańscy korespondenci W. Kotwicza; prof. Z. Wójcik, Warszawa - W. Kotwicz o Józefie Kowalewskim. **16 kwietnia 2007** – dr J. Tulisow, Warszawa – Z wizytą u Ewenków; mgr inż. Michał Książek, Warszawa – Dziś prawdziwych Ewenków już nie ma; dr Robert Wyszyński, Warszawa – Buriaci dzisiaj; mgr M. Taha Żuk, Warszawa – O trwałe upamiętnienie 80. rocznicy zgonu Bronisława Piłsudskiego. **4 czerwca 2007** – dr Mariusz Chrostek, Rzeszów – Z XIX-wiecznych polskich syberyków literackich; dr M. Pędracki, Warszawa – Wpływ sylwetek zesłańców na stereotypy obrazu Polaków wśród współczesnych Jakutów i Ewenków; prof. Z. Wójcik, Warszawa, prof. A. Kuczyński, Wrocław – Problematyka konferencji naukowych polsko-syberyjskich w 2007 roku; **15 października 2007** – prof. Z. Wójcik, Warszawa – Projekt monografii o wkładzie Polaków do rozwoju cywilizacyjnego Syberii. **12 grudnia 2007** – prof. Wiesław Caban, Kielce – „Bąk”, pismo satyryczno-moralne zesłańców politycznych w guberni penzeńskiej; mgr Stefania Skowron-Markowska, Wrocław – Maria Antonina Czaplicka i jej badania etnograficz-

ne na Syberii; mgr M. Taha Żuk, Warszawa – Grób Antoniego Muchlińskiego, orientalisty, na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie; prof. Rodżana Dugarowa, Ułan-Ude (Buriacja) – Kultura współczesnej Buriacji; prof. Z. Wójcik, Warszawa – śp. Prof. Gabriel Brzęk – w piątą rocznicę zgonu autora *Historii zoologii w Polsce*, Kraków 2007.

Szczególne wartości poznawczą miały referaty sesji poświęconej W. Kowalczykowi. Ponadto członkowie Komisji zdecydowali o przystąpieniu do pracy nad monografią o wkładzie Polaków do rozwoju cywilizacyjnego Syberii. Sprawą zainteresował się Instytut Historii Nauki PAN. Z inicjatywy mgr M. Taha Żuka podjęto starania o zabezpieczenie grobów wybitnych orientalistów: J. Kowalewskiego i A. Muchlińskiego) na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

W programie działalności Komisji żywe zainteresowanie budziły krajowe i międzynarodowe konferencje poświęcone tematyce syberyjskiej. Niemal wszyscy uczestnicy Komisji uczestniczyli z referatami w konferencjach organizowanych przez inne instytucje. Były to między innymi: **1.** Konferencja pod nazwą „Polacy w nauce i kulturze Tomska oraz Zachodniej Syberii” odbywająca się w dniach 10-13 czerwca 2007 roku we Wrocławiu. Jej organizatorem był Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. W konferencji brali udział członkowie Komisji: dr M. Chrostek, prof. A. Kuczyński, dr hab. B. Jędrzychowska i prof. Z. Wójcik; **2.** Konferencja „Polacy lekarze na Syberii XVIII-XX wiek”, odbyła się w dniach 28-30 października 2007 roku w Łodzi a jej organizatorem był prof. J. Supady z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi przy współpracy z Komitetem Historii Nauki i Techniki PAN. W niej również brali udział członkowie Komisji, a ponadto dwaj członkowie wspomnianego Komitetu: prof. T. Brzeziński i prof. R. Meissner; **3.** Kolejna konferencja nosiła tytuł „Polacy w Guberni Archangielskiej w XIX początek XX wieku” i odbywała się w Domu Polonii w Pułtusku w dniach 10-13 grudnia 2007 roku. Jej organizatorem był Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Ponadto członkowie Komisji uczestniczyli w dwu konferencjach organizowanych przez Katolicki Uniwersytet Lubelski poświęconych także tematyce syberyjskiej. Obie organizował prof. Eugeniusz Niebelski. Pierwsza poświęcona była św. Rafałowi Kalinowskiemu, na której referat o Jego kontaktach z Benedyktem Dybowskim wygłosił Z. Wójcik, druga natomiast dotyczyła tematu powstańców styczniowych działających na Zachodzie Europy, (w tym Sybiraków) w której uczestniczył także prof. Z. Wójcik.

Wspomnieć również należy konsultacyjną rolę Komisji wobec osób przygotowujących rozprawy doktorskie i habilitacyjne. Ponadto Związek Sybiraków zwrócił się z prośbą do Komisji w sprawie rozpoznania problemu liczby Polaków deportowanych w latach 1939-1956 w głąb Związku Radzieckiego. Ze względu na charakter Komisji, której przedmiotem jest sprawa historii nauki, problem ten będzie konsultowany ze specjalistami.

Zbigniew Wójcik

